

18753

Józef Wojciechowski, ur. 21 lutego 1915 roku, w Podhajcach na Podolu w województwie tarnopolskim.

Jestem z dziada pradziada stamtąd, z tej szlachty zagrodowej - o czym świadczy nazwisko, która tam rozsiadła była na Podolu. Tesarowscy, Domadzierscy, Łotoccy, Niemczyńscy, Jaworscy, Sokołowski, Wojciechowski, Filipowski, ~~Pokalscy~~ itp. Myślę tam byli od wieków. Byliśmy autentycznymi autochtonami, równoległe z Rusinami czy Ukraińcami i równoległe z Żydami. Te wszystkie trzy nacje współżyły w bardzo dobrej symbiozie.

Podhajce, gdzie zamieszkiwałem, miasteczko małe - ośmiotysięczne. Charakterystyczne dla galicyjskich miasteczek miało ono 4 tysiące Żydów, a druga połowa pół na pół Polaków i Ukraińców. Pochodzę z rodziny niezamożnej, robotniczej. Ojciec był niższym urzędnikiem w administracji w starostwie. I z tej pensji i małego gospodarstwa, tak jak to w małych miasteczkach było przyjęte, rodzice utrzymywali się. Z wielkim szacunkiem i z wielką wdzięcznością wspominam moich rodziców, którzy - a pochodzę z siedmioosobowej rodziny ^(rodziny) - potrafili zapewnić wszystkim dzieciom średnie wykształcenie. W Podhajcach nie było gimnazjum, kształciliśmy się we Lwowie, w Tarnopolu, w Brzeżanach.

W 1934 r. zdałem maturę, typ neoklasycyzm w Brzeżanach, a więc z łaciną i greką. Po maturze pracowałem na pół etatu na poczcie, w Podhajcach. W latach 1936-1937 odbywałem chłwińską służbę wojskową w podchorążówce. ^{w Sanitarium} Po zakończeniu służby wojskowej, rozpocząłem

w 1938 roku studia na uniwersytecie lwowskim, na wydziale prawa. Udało mi się otrzymać posadę na poczcie we Lwowie. Pracowałem w Urzędzie Lwów 2. Odpowiadało to mi o tyle, że mając uczelnię na miejscu, miałem możliwość studiowania, praktycznie zaocznie. Przed wojną pierwszy rok ukończyłem, a w 1939 r. rozpocząłem nawet studia na drugim roku, bo na uniwersytecie jesienią jeszcze trochę profesorów było - także że indeks mam jeszcze wypełniony na drugim roku.

Nie należałem i nie darzyłem sympatią żadnej partii przed wojną, ponieważ po prostu byłem za młody. Ale zorientowany byłem dobrze. Wiedziałem o ludowcach, kto jest kto, jaką rolę Witos odgrywał, a jaką endecja, piłsudczycy z sanacją, a PPS z Daszyńskim. Orientowałem się o wiele lepiej, aniżeli współczesna młodzież.

Wszyscy bracia - pięciu nas było, służyli w wojsku, w 39 roku - to też się rzadko zdarza - z jednego domu pięciu nas zostało zmobilizowanych na apel Ojczyzny. W wielkim skrócie powiem o losach każdego z braci. Jan i Michał byli zawodowymi oficerami przed wojną. Jan brał udział w obronie Helu, a Michał w obronie Modlina. Tak się szczęśliwie złożyło, że bracia spotkali się w jednym obozie w Woldenbergu. Młodszy brat Aleksander, który był w junackim hufcu pracy, gdzieś w ostatnich dniach września dotarł do domu do Podhajec. Brat Kazimierz, najstarszy, walczył pod Opatowem i Iłżą w 12 dywizji piechoty tarnopolskiej, dowodzonej przez generała Paszkiewicza. Ja byłem ze swoim macierzystym pułkiem kołomyjskim 49-tym, w składzie Armii „Karpaty”. Byliśmy już w odwrocie, w okolicach Kosowa Huculskiego, gdzie doszła do nas wiadomość o wstąpieniu Armii Czerwonej. Ktoś wyskoczył na kwatere do nauczyciela, tam było radio i stamtąd zasięgnął języka, że miało to miejsce 17 września. Nie mogliśmy się zorientować w pierwszej chwili, jak to należało rozumieć. Ale były wśród nas głosy od razu, że to jest gwóźdź do trumny. Ukraińcy z naszej jednostki rozpięzli się podczas nalotu i żadna siła z lasu by ich już nie wyciągnęła. Nie była to już dezer-

cja, tylko po prostu oddział się rozłaził. Zostaliśmy tylko my podchorążowie, i myśmy w Jabłonowie pod Kołomyją podjęli decyzję, że wracamy, że nie idziemy do Rumunii. Gdyby to była węgierska granica, być może poszlibyśmy chętnie, a o Rumunii już niekorzystne były relacje od tych, którzy już zagryzli stamtąd wrócić. Pamiętam, że demokratycznie głosowaliśmy; było nas pięciu podchorążych i przegłosowaliśmy, że zostajemy. Ja osobiście głosowałem za przejściem przez granicę, mnie się marzyły przygody, poznanie języków itd. Ale np. koledze Sawczakowi z Brzeżan, który głosował za tym, żeby zostać, bo jego żona miała w październiku rodzić, to ja się nie dziwię. On mówił tak, jeżeli nasi sojusznicy anglo-francuscy nie pośpieszyli nam z pomocą wtedy, kiedy myśmy się jeszcze liczyli i stawiali opór, to w przyszłości będą nas traktować jako mięso armatnie. Niech się sami fatygują na pierwszą linię.

Kiedy wkroczyliśmy do Kołomyi, to widziałem radość wśród ludności żydowskiej i ukraińskiej. Z mojej obserwacji wynika, iż jak władza się zmienia, wywołuje to radość. Nie miejmy złudzeń, gdyby się okólnie władza zmieniała, jaka by była radocha. A historia daje przykłady, że Napoleon III wygrał plebiscyt, a później jak za 20 lat poniósł klęskę pod Sedanem, to Go przeklinano. Rozumiem, że z punktu widzenia Żydów, którzy uważali, że mieli krzywdę, to była radość, że wkrótce ta armia, która do władzy ich powołała i na nich się oparła. A Ukraińcy woleliby żeby to byli Niemcy, bo ich się spodziewali, ale język ich łączył itd, to też była satysfakcja. Oczywiście dotarło do mnie, że Polakom dokuczano, a jaka ta wasza Polska, że rozleciała się jak domek z kart. Nawet pamiętam takie ukraińskie wierszyki: "Oj ty Rydzu Śmigły, szczo tobie zdejetsia, ty utik zahranyciu - cihyj świt śmiejetsia" - /Oj ty Rydzu Śmigły- co tobie się wydaje, tyś uciekł za granicę- cały świat wybriewa się z ciebie/.

To była dla nich satysfakcja, a my Polacy kresowi musieliśmy te gorzkie pigułki połykać. Albo inny dwuwiersz: "w nedilu, po południ o piątej godzinie rozpadła się Polska na dwie połowiny. Odnu połowynu wzięły sławni Niemcy, drugu połowynu czerwonoarmiej^{scy}". Polacy byli przygnębieni, zaszokowani, że ta niepodległość, którąśmy takim cudem uzyskali dosłownie w oczach się zawałiła. Później, po kampaniach w Norwegii, we Francji, spojrzenie było inne.

Żołnierze sowieccy nieufni, podejrzliwi, bo tak byli nastawieni. Im powiedziano, wiem o tym, bo później rozmawialiśmy z nimi, że Polacy będą ich truli, żeby nie przyjmowali żadnego jedzenia. W ogóle żadnych kontaktów by nie nawiązywali, nie tylko z Polakami, ale w ogóle z ludnością. Od kontaktów byli polityczni komisarze. Wojsko co jadło, gdzieś tam w polu, nie wiadomo. Starsza generacja, jak moi rodzice, którzy pamiętali sprzed 25 lat wkręcenie w 1914 roku armii carskiej - dziwiła się, jak można przez 25 lat zmienić tak ludzi. Tamci jak wchodziłi, to aż wrzała cała wieś czy miasteczko, bo ze śpiewem, rumiani, weseli, pełni werwy, życia itd. Dziewczyny trzeba było chować, zamykać po piwnicach, komórkach, bo zaraz za nimi latały. Tu tych rzeczy nie było, to jakby asceci weszki - ani do rozmowy ani do kontaktów się nie kwalipi. Bładzi byli. Wobec tego nie mówiło się o nich Moskale a Sowietci. Sowiet, Sowietka i nawet miejscowi Ukraińcy nie utożsamiali się z nimi. To był inny typ ludzi, na sto procent poznać było można po sylwetce, że to nie jest nasz miejscowy człowiek. Skryci byli i nie afiszowali się niczym.

W Kołomyi zostaliśmy internowani przez władze radzieckie. Przez kilka dni byliśmy trzymani jako internowani. Wreszcie postawiono wagony i wywieziono nas. Mówiono, ponieważ tam było bardzo dużo ludzi z zachodniej Polski, że nas wiozą przez Lwów do Przemyśla, co okazało się wierutnym kłamstwem. Ponieważ byłem z tamtych stron, zorientowałem^ś się, że skierowano nas na Podgórskie a stamtąd na wschód na Tarnopol.

Na najbliższej stacji Potutory bez wielkiego ryzyka wyskoczyłem i uciekłem. I miałem to szczęście, bo nawet mi się nie sniło - co tych ludzi później miało czekać. Wtedy byliśmy natęgni i nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co nas może czekać.

Z miejsca, z którego udało mi się uciec, do Podhajców było blisko - 21 km. Do Podhajec dotarłem jakimś przygodnym parowozem, którym jechała jeszcze nasza obsługa. Byłem pierwszym z pięciu braci, który zjawił się w swoim domu. Po kilku dniach, najwyżej tygodniu, wyjechałem do Lwowa, ponieważ tam byłem zameldowany, tam pracowałem i studiowałem. I to mądrze wytyliłem, jak się później okazało, bo w Podhajcach nie było nas dużo inteligentów z cenzusem i bardzo na nas były oczy zwrócone. Później wszyscy zostali aresztowani i 90% tych ludzi zaginęło.

W Podhajcach przy końcu września 1939 r. jeszcze zostało mnie zarządzenie, takie wezwanie na dawnym budynku Policji Państwowej, że oficerowie i podchorążowie rezerwy mają obowiązek zameldowania się. Nikt nie przypuszczał o co tu chodzi, bo to było zaraz w pierwszych dniach, od tego zaczęto. I ja z głupoty i poczucia obowiązku poszedłem. Tylko, że wyjechałem za parę dni do Lwowa i zgubili mój ślad. Moi koledzy wyłowieni zostali wszyscy.

Życie diametralnie się zmieniło. Ludzie ustawili się na przetrwanie, bo wojna trwa. Ale muszę podkreślić, że Związek Radziecki do 1941 roku pozostawał w stanie pokojowym. To co wyczyniano z ludnością polską, częściowo stan wojenny mógłby usprawiedliwić. Ale nie ma żadnego usprawiedliwienia, bo to państwo robiło te rzeczy w stanie pokojowym. To, co się działo przekreślało wszelkie logiczne rozumowanie. Panowała atmosfera zastraszania i terroru.

Ze swoją polskością, ze swoją krzywdą musimy przecierpieć, wytrzymać, wojna trwa. W czasie wojny było bardzo dużo naiwnych poglądów, ale to było potrzebne. W październiku w 39 roku były pierwsze aresztowania - w Podhajcach pan Rytarski - naczelnik sądu, policja szła na pierwszy ogień. Na tamtych terenach żaden z policjantów nie przeżył, a rodziny ich zostały wywiezione. Poza tym wszyscy przedstawiciele administracji państwowej - od prokuratora, sędziów poprzez wójtów, sołtysów, nie mówiąc o starostach itp., ale nawet dróżnicy i listonosze. Bo to byli przedstawiciele władzy, funkcjonariusze.

Po powrocie do Lwowa w pierwszych dniach października zgłosiłem się do swego przedwojennego urzędu. Tam się gromadzili nasi, ci którzy brali udział w kampanii wrześniowej i w obronie Lwowa. Lwów stawiał opór, ale Niemcy otoczyli miasto - lasami od Winnik od wschodu i od ul. Gródeckiej uderzyli. Później podszły rosyjskie wojska i generał Langer, ówczesny dowódca korpusu i. obrony Lwowa uznał za stosowne, by lepiej kapitulację złożyć na ręce sowieckie, bo to zawsze Młowianie. On biedny także nie przeżył. Mądrych i przewidujących nie ma w takich czasach. A bardzo mądrzy ludzie, profesorowie uniwersytetu, ci w ogóle padli ofiarą. Oni w ogóle praktycznego życia nie znali. Większe szanse przetrwania mieli ci drobni urzędnicy, funkcjonariusze, którzy mieli jakieś drobne ogródki, sady, małe gospodarstwa, bo to była podstawa do jakiegosć egzystencji, zanim gdzieś się zatrudnił, a zatrudnić można się było tylko do pracy fizycznej, do rozbijania kamieni na szosie itp. Na postach dużo naszych przetrwało, bo to były podrzędne funkcje. Żadnej pensji nikt już nie dostał. Władze polskie na trzy miesiące przedtem wypłaciły w banknotach papierowych i tym jakoś tam ludzie jeszcze dysponowali. Gorszy los spotkał ludność miejską, zwłaszcza we Lwowie, gdzie

uciekinierów strasznie było dużo. Lwów normalnie liczył 360 tysięcy mieszkańców, a wtedy milion ludzi tam było. So to byli Żydzi, polnaniacy, kolejarze jako uciekinierzy oraz wojsko i rezerwa.

We Lwowie byłem do marca 1940 r. Jak wyglądała organizacja pracy poczty Lwów 2 ? To była poczta ekspedycyjna, ponieważ bomba uszkodziła ten budynek, dawni pracownicy gromadzili się w budynku Syndykatu Emigracyjnego przy ul. Wiśniowieckiej. 11 listopada, Bajki. Myśmy się tam zbierali, opowiadali sobie o swoich przeżyciach, przewidywaliśmy co nas czeka itd. Później przyszedł aresztowania wśród naszych naczelników. W ciągu października przysłanych zostało dwóch nowych kierowników - naczelnik główny i zastępca, którzy mieli organizować pocztę już na swój radziecki sposób. To był Sokaluk i Tatarenko.

3 października ożeniłem się. Ślub wzięliśmy w kościele św. Antoniego na Łyczakowie. Żona przed wojną była urzędniczką w PKO, na dobrej posadzie. Ona też powróciła do biura, ponieważ w pierwszej chwili ludzie zgłaszali się do swojej pracy, zwłaszcza młodzi ludzie, którzy nie mieli niczego specjalnie na sumieniu itd. Pracowaliśmy oboje jeszcze do marca. Mieszkaliśmy na stacji, tam gdzie żona mieszkała przed wojną. Pobraliśmy się z tego względu /byliśmy już narzeczeństwem przed wojną/, że przyszedł taki czas niepewny. Coś mi tak podpowiadało, że w razie jakiegoś aresztowania, to tak człowiek przepada bez śladu zupełnie, a zawsze jak dwoje, to ktoś się zainteresuje, do więzienia z paczką pójdzie itd. Ponadto rozeszły się pogłoski, że śluby kościelne będą zakazane, wobec tego należało się pośpieszyć.

W połowie października, kiedy już ci dwaj wspomniani naczelnicy zjawili się, zwołano tzw. miting. Miting to było bardzo modne wtedy słowo, zaczęła się epoka zebraniomani, bo z przedwojennych czasów żadnego zebrania w pracy w ogóle nie pamiętam.

Pierwszy miting - zawiązała się tzw. "prośpiłka" /ukraiński termin to co związek zawodowy/. Wybrano na przewodniczącego tego związku takiego fizycznego pracownika ... Umysłowi pracownicy chodzili w granatowych fartuchach, a tanci w zielonych. A więc w celu przeciwstawienia sobie tych grup, wybrano takiego starszego pana, listonosza. On właśnie zwołał wiec. Z ciekawości, co też nam powiedzą, co nas czeka, wszyscy poszliśmy. Stoły były rozstawione, czerwonym suknom nakryte, czego nie bywało, bo używane było zielone sukno. On siedział jako przewodniczący, koło niego siedział przedstawiciel Czerwonej Armii, jak on go przedstawił. Był to świetny mówca. Krzesła rozstawione, nasze panusie jeszcze ubrane elegancko, posiadały nóżka na nóżkę, a myśmy młodzi tośmy stali i ustawiali ucha. Zagał ten listonosz. Do niego nie mieliśmy żadnych pretensji; oświadczył nam, że wystąpi tu siedzący przedstawiciel Armii Czerwonej, który zapozna nas z pryncypiami socjalizmu. Wszystko grzecznie, jeszcze nie nastąpiło schamlenie obyczajów, które wystąpiło już po paru miesiącach w kolejkach itd. Te kolejki i tramwaje obwieszane tłumem - zepsuły ludzi. A Lwów przecież był słynny z wysokiej kultury. To był mały Paryż. Do tramwaju jak paniekna wchodziła, kilku zrywało się - proszę bardzo. Wulgarnego słowa się nie słyszało, nawet te "batiary" potrafili ostro coś powieźć, ale wiedzieli gdzie można się tak wyrazić. Jeżeli ktoś kogoś potrafił, to ukłon, uchylenie kapelusza, przeproszenie. Wysoka kultura - tak ja zapamiętałem Lwów i płakać chce się po tym Lwowie. Jakże to było miłe, atrakcyjne miasto.

Już w pierwszych dniach października rozeszła się wieść, że profesor Stanisław Grabski i prof. Stanisław Głapiński zostali aresztowani. To byli znani przywódcy endecji, wybitni luminarze naszej nauki, wybitni ludzie. Grabski siedział w więzieniu na nąckiego. Żołnierze, którzy tam stali przepędzali z chodnika, trzeba było iść

po drugiej stronie ulicy.

Wracając do mitingu - wszyscy byli, nie wyłączając mnie, bardzo naiwni i w zasadzie wszystko braliśmy za dobrą monetę. Ten prelegent oczywiście świetnie mówił, przeproszał na wstępie, że on nie zna polskiego języka, wobec tego będzie mówił po rosyjsku. Oklaski go do tego upoważniły. Bo język ukraiński wielu znało; te panusie nie znały, ja osłuchałem się. On przyjął taką metodę, że przeciwstawiał to, co widział u nas, a co ma być jak przyjdzie władza radziecka. I przedstawiał to z taką zgorszoną miną, że aż nam się przykro zrobiło. Kilka przykładów tej retoryki -- po wkroczeniu tu do was zauważyliśmy waszych policjantów i z wielką odrazą zobaczyliśmy, że oni mieli gumy "reziny" takie. Załamał ręce i mówił: jak was traktowano. Przecież oni tych pałek używali i jak "skotłiny", jak było was bili, w dwudziestym wieku? żeby tak postępować. Nam przykro było. I przeciwstawienie - u nas wielikaja oktiabrskaja socjalistyczeskaja rewolucja raz na wiegda z etim zakończyła! Raz i na wsiegda!

Drugi przykład - wasz ustrój charakteryzował się chęcią zysku; jeden drugiego w łyżce wody utopiłby w pogoni za tym zyskiem. Symbolem zysku było złoto i pogoń za tym złotem - za kapitałem powodowała, że jeden drugiego eksploatował. Chwila przerwy - rękę na piersi kładzie, odchyła się do tyłu i skanduje: "u nas samoje dragocenneje zoloto eto cze -- ło -- wiek!" Brawo! brawo! "Tak skazał towarzyscz Stalin". Inny przykład: -- u was konstytucja kapitalistyczna, burżuazyjna była, ona przewidywała jakąś elitę, zróżnicowanie.

U nas społeczeństwo jest bezklasowe, nie ma żadnych klas, z tym rewolucja "raz na wsiegda skończyła". "Nasza konstytucja eto samaja demokratyczeskaja konstytucja wo wsioim mirze!". Ona jest przedmiotem zazdrości w całym świecie! /po rosyjsku/. Bo nasza konstytucja powiada: "lubaja respublika w luboje wremia mozet wyjty iz sostawa

Sowietckiego Sojuza, jeśli polełajet!" Brawa u nas.

Wybory. Gdzieś około 26 października 1939 r. odbyły się wybory w celu wyłonienia delegatów do Wierchownowo Sowietu.

Żydzi wysługiwali się tym, że przekazywali informacje wszelkie. Rozpętała się atmosfera donosów, terroru, szantażu. Widziałem sam, jak żołnierze latali po mieszkaniach, po domach, wzywali i zmuszali do wzięcia udziału w "wyborach"; musiałem iść. Ja przyznam się, też byłem na głosowaniu... Oczywiście to głosowanie dało 99% frekwencji za przyłączeniem Zapaďnej Ukrainy do Kwitnącej Ukrainy. Jednakowoż na Zbruczu granica była utrzymywana, żeby ludzie zanadto temu "kwitnieniu" się nie przyglądali. Opowiadano, że ludzie, którzy stamtąd przychodzą są wynędzniali, że jest tam przeraźliwa nędza. Zresztą i u nas we Lwowie już w listopadzie i grudniu kolejki po chleb były takie niesamowite, że ludzie już pierwszej, drugiej w nocy zajmowali kolejkę. I ten piękny Lwów, przeistoczył się w miejsce, gdzie na ulicach drzemali ludzie w kolejkach oparci o ściany. Jak się rano jechało do pracy to widziało się długie rzędy tych oczekujących.

Sprawa konspiracji. W tym czasie nie byłem w organizacji, ale miałem z nią luźną styczność. Wiadomo mi tylko było, że na czele konspiracji stał generał Januszajtis. Konspiracja ta nie miała łączności z Warszawą, z Krakowem, bo granica na Sanie była strasznie obstawiona. To wiadomo, że Karaszewicz-Tokarzewski był później w marcu 40 roku przerzucony i na granicy go złapali.

Cc do generała Januszajtisa, to tylu agentów zostało wysłanych, tak go szukali, że go znaleźli; został aresztowany, ale przeżył. Chodziły słuchy, że organizuje się też inna konspiracja, że nazywano to Związek Walki Zbrojnej - o tym nie wiedziałem. Bardzo modne były wtedy w środowisku inteligentów ucieczki za granicę. My z żoną mieliśmy nagrany już sprawę w Śniatyniu. Ze Śniatynia mieliśmy

uciekać przez rumuńską granicę. Dochodziły później wiadomości, że niektórzy przeszli, a niektórych - ci, którzy wzięli pieniądze za przeprowadzenie, jednocześnie brali od NKWD - wprowadzali w pułapkę. Później już ten zapach ostygł. Ale pamiętam kolegów, znajomych, którzy jeszcze w marcu, w kwietniu uciekli i później z Węgier przyszły kartki na potwierdzenie. To było bardzo charakterystyczne dla ówczesnych nastrojów tej pierwszej zimy. Poza tym poglądy były bardzo naiwne, ale ludzie musieli się czymś pocieszać - że na wiosnę Francja, alianci ruszą. Nie ruszyli we wrześniu, to ruszą teraz. Byli tak naiwni, zwłaszcza urzędnicy, którzy meble wysprzedawali, odzież, żeby przetrwać do wiosny. A na wiosnę - zupełna nędza, głód.

Były takie zarządzenia, żeby oficerowie rejestrowali się. Na ulicy Batorego, gdzie był Sąd Okręgowy, przyglądałem się - istna procesja, poczwórna kolejka; stali pół dnia żeby się zarejestrować. I co z tego wyszło, oni na siebie wydali wyrok. Bo jak zarejestrowano adres zamieszkania, to później wyławiali. Gdzieś już od listopada 39 r. zaczęło przenikać do naszej świadomości, że tam znikł człowiek, tu znikł. To się działo nocami, nad ranem. Później już wiadomo było, że więzienia zaczynają trzeszczeć w szwach. Ci, którym udało się wyjść, mówili, że tam gdzie cela była przystosowana dla 4-ech ludzi z odchylanymi pryzmami - pryzmy zostały wymontowane i 20 ludzi tam siedziało. Więc ta masowość później porażała nas. Przerazenie padło na wszystkich, zwłaszcza na Polaków. Aresztowania były też wśród Ukraińców - nacjonalistów. Raza wśród Żydów. Nawet miałem kolegę Żyda o nazwisku Fink, który był oficerem rezerwy. Aresztowali go w Podhajcach razem z innymi i przepadł. A więc o konspirację ocierałem się tylko. Natomiast wiadomo było, że koledzy z mojej poczty, zegnali się i znikali, jechali na Stanisławów na Worochtę, żeby uciec za granicę. Miałem taki sprawdzian: patrzy-

tem po ludzicach i już wiedziałem, czego się po kim można spodziewać. Byli i tacy koledzy na poczeko, którzy nie mieli żadnych skrupułów i ci usiłowali żyć normalnie, ale oni należeli do wyjątków. Zgorszenie budziła para, która wzięła udział w zabawie tanecznej. Spotkało się to z powszechną dezaprobatą.

Jak już mówiłem, we Lwowie przebywałem do marca 1940 roku. Bardzo smutne były święta Świętego Narodzenia. Pamiętam, że bardzo perfidnie - tuż przed świętami, 3 - 4 dni, wydano zarządzenie, że polska waluta traci wartość. Polska waluta została skasowana i unieważniona. To jeszcze bardziej pogorszyło sytuację tych, którzy nie mieli z czego żyć.

Dowiedziałem się w tym czasie, że dozorny interesują się mieszkańcami, chodzą, pytają się, sprawdzają. Ponadto głód zaczął już doskwierać. Wobec tego postanowiliśmy wyjechać do Podhajec, do rodziców żony Sokołowskich. Oni mieszkali w Mirynowie, w takiej przylegającej do Podhajec wiosce. W wiosce łatwiej było się ukrywać i utrzymać. Teściowie mieli dość duże gospodarstwo tuż przy stacji kolejowej, mieli krowy, konie itp., więc do takich ludzi głód jeszcze nie mógł się brać. Aż do 1945 roku tam przebywałem. W tym czasie - gdzieś na wiosnę 40 roku zarządzono paszportyzację. Przed wojną dowodów osobistych nie było. Aby otrzymać paszport trzeba było w kolejkach przed NKWD wyczekiwać. Tam każdy był "prześwietlony".

Jeszcze mieszkając we Lwowie - czyli w połowie lutego, nastąpiło coś, co oszołomiło nas - pierwsze deportacje - wagonami. Pierwsza deportacja 10 lutego 1940 roku - była śnieżna zima, okropne mrozy. I jak się okazało od Dąbiny, od Wilna, Białegostoku, Suwałk aż po Stanisławów, Karpaty, Zaleszczyki - wszyscy to wyłącznie Polacy. Pierwszymi transportami objęci byli biedniacy, którzy nie znali języka ukraińskiego, dalej służba leśna - gajowi z rodzinami,

leśniczy itd. Ponieważ we Lwowie była stacja węzłowa, te transporty tam się krzyżowały. Lwów był oszołomiony. Ponieważ kolejarze czuli się jeszcze jak u siebie, doszło do tego, że podbijali, powyłamywali drzwi w wagonach i niektórych podbijali. Znam nawet osoby, które się uratowały i we Lwowie "zgubiły się", bo wsiadły w społeczeństwo, przyjęły jakąś pracę & nie przyznawały się skąd są; dowód wyrobiły jako uciekinierzy gdzieś tam spod łowicza i uszło.

Cywilizacja XX-go wieku - a takie wywózki, deportacje i okrucieństwa miały miejsce w czasie pokojowym, przy takiej demokratycznej konstytucji.

Pierwszą okupację sowiecką przetrwałem, nie byłem aresztowany. Kolegów dookoła, kto był w wojsku, po gimnazjum - to wykładowali. Wynieniam nazwiska kolegów wywiezionych w 1939 roku. Miało to miejsce na terenie Podhajec w pierwszych dniach grudnia. W ciągu jednej nocy władze NKWD przeprowadziły taką akcję na podstawie wcześniejszej rejestracji. Wykłócili wszystkich oficerów, podchorążych rezerwy w liczbie 26 osób: pan Jastrzębski prezes PZO, Lebensart - nauczyciel, Horbaczewski - urzędnik pocztowy, Majewski - urzędnik wydziału powiatowego, Ludwik Majewski - pracownik czy nawet dyrektor Powiatowej Komunalnej Kasy Oszczędności, Stanisław Sznajder - nauczyciel i zastępujący burmistrza w tym czasie, Mieczysław Kowalczyk urzędnik - pracownik Magistratu, Józef Steniewicz, Józef Dziadykiewicz, Wilhart - nauczyciel, Bronisław Czop starszy pan, który miał szczęście już w 14-tych roku dostać się do niewoli rosyjskiej, w Semipalatyński był i odbył wtedy sześciolatek niewolę, Józef Pekalski w ogóle nie pracujący, bo miał bogatych rodziców, Leonard Bajorek po maturze - całkiem młody chłopak. Wiem, że Bronisław Czop przeżył Mieczysław Kowalczyk, który później był księdzem, brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Już nie żyje jeden i drugi. I przeżył Wilhart który mieszka w okolicach Myślenic.

Dalszy okres okupacji sowieckiej, to wyzukiwanie dalszych wywózek, czy aresztowania, czy czekanie na wiadomości od tych, którzy zostali wywiezieni - to było wszystko przerażające, ponure i tak przeszedł ten czas.

W 1941 roku wkroczyli Niemcy do Lwowa 28 czerwca, do Podhajec 3 lipca Niemcy wkroczyli. Ludność czekała z niedowoleniem na zmiany. Ukraińcy szaleli; oni mieli powody, bo to im się wydawał naturalny ich sojusznik. Żydzi także mieli już dość tego. Ci Żydzi, którzy w 39 roku ewakuowali się z Krakowa czy Przemyśla mieli już tak dość że rejestrowali się na powrót do swoich miast. Porejestrowano ich i wywieziono na Wschód. Natomiast na naszych miejscowych Żydów w 1941 roku zeszło otumanienie - nie ma mądrych ludzi w takich czasach. Żydzi - mówiło się, że są mądrzy jako zbiorowisko, że ich rabini są mądrymi ludźmi i wiedzą jak pokierować. Tu dali dowód całkowitej ślepoty, naiwności itd. Nie kwapili się wcale z ucieczką. Wagony były podstawiane dla funkcjonariuszy sowieckich i tylko ci Żydzi, którzy pełnili jakieś funkcje - wyjechali. Ogół ludności żydowskiej został.

Ukraińcy szaleli, i myśmy się cieszyli, paradoksalna sytuacja. Jeszcze do 41 roku wiadomości o represjach niemieckich nie było - /o takich represjach jak w latach 1943, 1944/. Dyskutowano, co teraz z tymi ziemiami zrobić. Wiadomo, że za Saxon była tzw. Generalna Gubernia. Nie wolno było używać nazwy Polska - zresztą na życzenie Stalina. Czy utworzą Galicję? czy przyłączą to do Węgier? nam Polakom uśmiechało się to. Tymczasem Ukraińcy samorzutnie objęli władzę administracyjną, samorządową, utworzyli swoją policję i zaczęły się aresztowania wśród Polaków. Wtedy miałem też rewizję osobistą w domu, bardzo brutalną, bardzo przykrą. Po kilku dniach zaczęły przenikać wiadomości, że Ukraińcy w więzieniach okropnie się ob-

chodzą, po prostu biją, wyzywają się w sadyistyczny sposób. Kazali co tydzień się meldować i tym, że jak szło się meldować, mogli powiedzieć: ty zostaniesz. Już w lipcu wywiesiali żółto-błękitne flagi swoje, o niemieckich zapomnieli. We Lwowie ogłosili rząd z Banderą, pod egidą metropolity Szeptyckiego, licząc na to, że Niemcy to zaakceptują. 1 sierpnia 1941 roku, ku ogólnemu zdumieniu tamtejszej ludności, zostało ogłoszone zarządzenie w języku polskim i ukraińskim, że z Małopolski Wschodniej tworzy się Distrikt Galizien, którą włącza się do Generalnej Guberni. To nam Polakom podobало się, że będziemy podlegać pod Kraków - cała Galicja, tam polska waluta itp. - słowem cieszyliśmy się. Wśród ukraińskiej ludności nastąpiła konsternacja.

Po ogłoszeniu Dystryktu Galicja, a to się stało 1 sierpnia 1941 roku, Niemcy kazali flagi ukraińskie przesunąć na drugie miejsce i wywiesić swoje. Przyjechało przedstawicielstwo Gestapo i ukróciło samowolę policji ukraińskiej. Tej ukraińskiej policji powierzono tylko rolę porządkową, z których musi się ona rozliczać przed Gestapo. Zweryfikowano więźniów, część wypuszczono, część oni sami przyjęli i to w jakimś sensie myśmy z ulgą przyjęli, bośmy nie zostali sam na sam z Ukraińcami. Zaczęło się tworzyć nowe życie, niemiecka armia poszła na wschód. Ja na początku 42 roku zaangażowałem się do takiej instytucji "Liegenschaft", popularnej - to był zarząd dóbr majątków, to znaczy tam, gdzie za Sowieków był urządzone sowchoz, to Niemcy teraz państwowe gospodarstwo wprowadzili. Nad tym była niemiecka administracja, ale na stanowiskach księgowych, magazynierów itd. byli miejscowi ludzie Polacy, Ukraińcy. Ja pracowałem jako magazynier i dzięki temu głód do mnie nie dotarł, a jeszcze miałem możliwość pomóc tu i ówdzie.

W 1942 roku w październiku wstąpiłem formalnie do konspiracji, do AK. AK bardzo się wtedy rozprzestrzeniła na tych ziemiach, mimo że żywioł polski tam był tak przetrzebiony. Powierzono mi funkcję dowódcy plutonu. Nie miałem żadnych trudności z werbowaniem sobie ludzi, chodziło o obsadę kadrową, dowódców drużyn, zastępców itd., a oni stopniowo według zasady trójkowej, bo konspiracja na tym polegała, dobierali sobie dalej ludzi. Na tym etapie - to była tylko obsada kadr, opiekowanie się i gromadzenie broni, której niewiele było. W Podhajcach dowództwo obwodu miało kontakty i jakaś tam broń przynosiła. A myśmy mieli tę, którą ludzie przechowywali gdzieś w ziemi. Później objąłem funkcję dowódcy kompanii na terenach wsi Bekierowa, Nowosiółki, Białokrynicy, Michałówki, Drągałówki pod Podhajcami. Były w niej trzy plutony. W Podhajcach było dowództwo obwodu, w Brzeżanach inspektoratu, w Tarnopolu okręgu, a we Lwowie obszar. Młodzież garnęła się do AK. Zapał był wielki. Nie było najmniejszych kłopotów z wyborem domów, w których były punkty przerzutowe, z przenocowaniem kogoś, ze składaniem konspiracyjnej poczty. Z doborem ludzi nie mieliśmy kłopotu i nie zdarzyło się, żeby ktoś zdradził. Kurierki dostarczały pocztę bardzo obfitą, literaturę podziemną, różnorodną prasę - "Walki", "Wytrwamy", "Orzeł Biały", "Zwycięzimy" i inne. To była prasa spod różnych znaków. Osobiście zostałem przyjęty do AK przez pana majora Kolbeka, który był przed wojną zawodowym oficerem w 51 pułku w Brzeżanach, a w tym czasie pracował w Podhajcach w administracji w zarządzie tego Liegenschaftu. U niego w mieszkaniu złożyłem przysięgę. Ten pan powiedział tylko - "gdzie drzewo rąbią, drzazgi lecą, proszę być na wszystko przygotowanym". Narazaliśmy się stale - za przechowywanie Żydów, całą rodzinę od razu rozstrzeliwano, w sąsiednich Monasterzyskach znaleziono przy kościele czy w kościele jakąś broń - obu księży wyprowadzono pod mur, bez dociekania - rozstrzelano. Myśmy sobie zdawali sprawę jako AK, że

teren kontrolują przede wszystkim Ukraińcy i że oni mają potężną, dziesięciokrotnie nas przekraczającą siłę, poza tym mają oparcie w swojej policji, nie mają też kłopotów z uzbrojeniem. Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że są dwie organizacje, ale trzymali się zasady: niech one się wzajemnie zwalczają. Przez ten okres trzyletni specjalnych aresztowań, specjalnych represji, wywózów nie było. Tu i ówdzie Arbeitsamt zabierał młodych ludzi na roboty. Było tak, że zgłaszały się całe rodziny chcące wyjechać - zwłaszcza kiedy nadeszły wiadomości, że zbliża się Czerwona Armia z powrotem. Całe rodziny się zgłaszały, żeby pojechać do Bawarii, do Niemiec i zresztą od Niemców sam miałem propozycję taką, bo u mnie na kwaterze byli z "Einsatzstabu" w brązowych koszulach chodzili, którzy udostępniali mi swoją prasę frontową i z którymi nieraz dyskutowałem. Proponowali mi - ponieważ oni są właśnie od przesiedleń, że mogą mnie skierować tam, gdzie ja sobie będę życzył.

Na przełomie 42/43 roku myśmy bardzo optymistycznie oceniali szanse dla polskiej sprawy. Inna rzecz, że sam gen Sikoraki był urodzonym optymistą i przesadzał w wielkiej ufnosci wobec przywódców alianckich, z którymi rozmawiał. I to w jego przemówieniach występowało, a naród tego pragnął i łaknął jakiegoś pociechy. I jeszcze muszę powiedzieć, że był on szalenie popularny, wręcz ubóstwiany w tym czasie i jak gdzieś przeniknęła gazeta z jego zdjęciem, to ludzie sobie przekazywali i patrzyli, bo on wydawał się jakimś Mesjaszem, na którego czekano, on był gwiazdą i on był całą nadzieją.

W 1943 roku nasza praca w AK polegała poza tym na inspekcjach od czasu do czasu, przy okazji nabożeństwa czy odpustu. W ciągu 43 r. jesienią dotarło do nas też takie zarządzenie, ażeby przygotować prowizoryczne lotniska dla lądowania samolotów. My mieliśmy wskazać - a góra miała ocenić czy miejsce się nadaje. Takie były

nastroje, górowała nadzieja, że jak kiedyś Polacy przez Rumunię i Węgry uciekali, tak teraz z tej strony przyjdą w awangardzie armie alianckie.

W kwietniu 1943 roku czyli w czasie trwania niemieckiej okupacji na tamtych terenach dotarły do nas dwie tragiczne wieści. Pierwsza to wybuch powstania w getcie żydowskim w Warszawie, to był kwiecień. I następna wręcz niobowa wiadomość, gdzieś około Wielkiej nocy o wymordowaniu polskich oficerów w lesie katyńskim. Informacja była przekazana oficjalnie. "Dziennik Lwowski" w polskim języku wychodzący, pisał artykuły i podawał wykazy. Zrobiło to ogromne wrażenie na społeczeństwie polskim. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości czyja to sprawa i kto jest prawdziwym winowajcą. Nazwiska znajomych kolegów przeczytałem. Z Podhajec - Tadeusz Kromer był wymieniony, urzędnik starostwa, był Edward Koenert - nauczyciel, lekarz zmobilizowany w 39 roku Zbigniew Pękalski, Zygmunt Jaworowski z Pomorza i Edward Dzień - nauczyciel z Podhajec. Wymieniony był także na tej liście mój szwagier inżynier Tadeusz Zaręba.

I tak przeszły te trzy lata niemieckiej okupacji z tym, że w 1943 roku - ale to się zaczęło już w 42 r. Ukraińcy się rozzuchwalili i zaczęły się te okropne mordy. Największe natężenie miały na Wołyniu, na Podkarpaciu w Tarnopolszczyźnie, koło Lwowa zaś mniejsze. W Markowej, to jest wieś ulicówka, w styczniu 1943 roku saniami jechali od końca do końca, wyskakiwali i mordowali, strzelali, siekierami dosłownie rąbali. Nad ranem wszyscy byli w poscieli, przy czym mieli taką orientację, że po drugiej stronie mieszkała rodzina ukraińska, to ich zostawiali. 68 osób zostało wtedy w tak okrutny sposób wymordowanych. Jak ja się przechowałem to znowu jakieś osobiste szczęście, bo Ukraińcy mieli przewagę w uzbrojeniu i w liczebności co najmniej dziesięciokrotnie a poza tym mając oparcie w ukraińskich wsiach, kontrolowali i penetrowali teren

bez żadnego ryzyka. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że oni znają całą naszą konspirację, dowódcę plutonu z mojej kompanii Rafała Monastyrskiego zabrali z pola w czasie żniw, przy ładowaniu snopów na wóz. A to co się działo na Wołyniu, gdzie była ta słynna partyzantka Bulby mordowali. Wiadomo teraz, że około 260 tysięcy Polaków wymordowali /moja opinia/. Wobec tego AK przyjęło na siebie rolę zorganizowania samoobrony przy użyciu tej broni jaka była, ażeby nie dać się zaskoczyć, ażeby oni nie mordowali nas jak bezbronne owce, tylko żeby taki stawiać opór, na jaki nas stać będzie. Te mordy nasiliły się w jesieni 1943 - przełom 43/44 roku. Doszło do tego, że ludność polska musiała opuszczać wieś tam, gdzie była w mniejszości i potworzyła się polskie getta. Uciekano do większych wsi, do Podhajec, bo na takie miasteczko nie łatwo było napadu dokonać. I nasza działalność w 43/44 przestawiła się na zorganizowanie samoobrony. Natomiast na naszym szczeblu żadnych odwetowych działań nie robiliśmy. Nie wolno nam nawet było, bo nie byliśmy na tyle silni i poza tym było przeświadczenie, z którym ja też się godziłem, że to rozjątrzy jeszcze bardziej sprawę.

Jeżeli chodzi o stosunek władz niemieckich do polskiej ludności to bluznierczo będzie to brzmiało i paradoksalnie, ale fakt obiektywny jest, że w latach 1939-41 wśród moich kolegów koło czterdziestu zostało aresztowanych i przypadki z krzywdą, to za te trzy lata kiedy Niemcy byli i mimo to, że myśmy w konspiracji byli antyniemieckiej akowskiej, którą Niemcy mogli wyczuwać, aresztowań nie było. Jeden jedyny Karol Czop - mój kolega jadąc ze Lwowa do Podhajec w pociągu został złapany z prasą polską, aresztowany i przypadł. Poza tym arbeitsanty wywoziły, ale były rozmaite sposoby, żeby podstawić kogoś, ustrzec się, wykupić. W 1944 roku - jak mówiłem - niektóre rodziny były takie, które obawiając się Ukraiń-

ców z wejścia Sowietów, same zgłaszały się na wyjazd, i to zarówno spośród Ukraińców jak i Polaków. Znam ludzi, którzy znaleźli się w Czechach, w Bawarii i bardzo spokojnie przetrwali, trafili do porządnym bauerów, bo i tak się zdarzało.

Nadchodzi rok 1944. Tu się słyszało, tam pożary, tam uciekają Polacy. Społeczne komitety polskie się utworzyły, które organizowały jakąś opiekę i pomoc dla tych uciekinierów - zakwaterowanie, wyżywienie. Tu znowu społeczeństwu podhajeckiemu muszę oddać cześć. Przecież to taka zapadła miejscina. Pamiętam w połowie sierpnia byliśmy w Panowicach, takiej wsi w zachodniej części powiatu podhajeckiego. Jak sama nazwa wskazuje to była szlachta zagrodowa. Tam w okolicy stacjonowała nasza kompania, Ukraińcy oczywiście musieli o tym wiedzieć i cały czas omijali tę wieś, nie atakowali. Ale w sierpniu rozzuchwalili się do tego stopnia, że zaatakowali ją, to była w 100% polska wieś. I ci ludzie zmuszeni byli uciekać. Zaprzęgli wozy, dobytek załadowali i pewnego dnia w samo południe dotarli do Podhajec od strony stacji kolejowej, konie w zmydlonej pianie, ludzie oszołomieni, widac grozę w ich oczach; ranni, widac krew, wlecieli na rynek. Więc oczywiste było, że trzeba się nimi zaopiekować, rozprowadzić, rannych ułożono w szpitalu. Taki epizod opowiadam, bo to jest charakterystyczne.

Luty - marzec 1944 rok - to naprawdę groza. Tam zdawało się, że już nie ma żadnego wyjścia i prędzej czy później do nogi nas wyrzną. Miałem przekonanie i podzielali to inni, że Ukraińcy nie tylko z własnej inicjatywy tak szaleją, że to było sterowane przez NKWD. Poza tym było podejrzenie, że ci ludzie napadali, to albo w polskim języku się porozumiewali albo w ogóle bawili się w jakieś niemowy, czyli nie zdradzali się ze swoim językiem. To w ogóle budziło podejrzenie, co to, kto to organizuje, inspirowe itd.

I kto na konto Ukraińców rozpętał tę "burzę". W lutym 1944 roku - ludzie z miasteczek w powiecie podhajeckim jak Złotniki, Wiśniowczyk zmuszeni byli opuszczać swoją ojczyznę. I to wszystko garnęło się, uciekało do Podhajec, bo jakie takie tu jeszcze oparcie było. Front przybliżył się na tyle, że pod Tarnopolem w marcu 1944 rozpętały się walki, ponieważ Niemcy pod Tarnopolem zaryglowali front, żeby nie dopuścić Rosjan do Krowa, to garnizon tarnopolski stawiał opór niesamowity. Miasto zostało doszczętnie zniszczone.

Około 20 marca z tych właśnie małych Podhajec Niemcy wykonali kontruderzenie. Do Podhajec, ponieważ to była stacja krańcowa, podwieziono wielką masę sprzętu, wojska itd. i stąd ruszyło uderzenie, które szło na odsiecz okrążonej armii niemieckiej pod Kamieńcem Podolskim - przez Buczac, Czortków. Widziałem tych rozbitków, którzy szli jak napoleonecy rozbitkowie spod Moskwy. Obwiązani jakimś cywilnymi ubraniami, bo to zima - mrozy. Często z nich się przebiła. Ale nie o to chodzi - w Podhajcach było oczekiwanie, ponieważ dochodziły nas słuchy, że Ukraińcy szykują napad na same Podhajce. Oczywiście my byliśmy przygotowani, czyli powiedziane było, żeby ludzie gromadzili się nie w swoich domach, tylko w trzech punktach oporu. Jeżeli ktoś zostaje, to na swoje ryzyko. Jeden punkt oporu był w szpitalu. Ja osobście byłem poza domem, z tym że miałem do trzeciego do któregoś punktu, bo akurat wtedy pełniłem funkcję dowódcy obrony. Czyli ta obrona - były trzy forty bastiony, które miały się bronić aż do ostatniego tchu według zasady - "twierdzą nasz będzie każdy próg".

To była noc przed Zwiastowaniem 24/25 marca. Oczekiwano - że to będzie noc św. Bartłomieja w Podhajcach. Wyczuwano się, przenikało to, że Ukraińcy nadchodzą z okolicznych wiosek; oczywiście w takiej masie, że nie było szans - to byłaby zagłada. Od strony rzeki sły-

chac być już jakieś głębiej, jakieś pojedyncze strzały i powiadamy: zaczęło się. Koło kościoła rozległa rodzinna Pokalskich mieszkała: bracia, siostry obok siebie. Już mówimy - do Łukalskich się dobrać. Rumor ten się taki zrobił, że byliśmy o tym przekonani. Myślimy - koniec. Tymczasem noc minęła. Nad ranem ja do swego domu z powrotem wchodziłem. Okazuje się, że nastąpiła zmiana. Radziecka partyzantka nadeszła i oni zrobili ten rumor. Oni się zetknęli z Ukraińcami i ich przegonili. Potwierdziło się to, że Ukraińcy rzeczywiście już podchodzili a partyzantka radziecka tymczasem podeszła /tego nikt nie koordynował, tak się złożyło/ i autentycznie nas wyzwoliła. Z rana jak ja zobaczyłem takiego czubaryka, który z bębniem z telefonem ciągnął kabel tą uliczką moją do góry, to ja go chciałem ugłupować. Ludzie się cieszyli, w kościele modły odprawiano, żeśmy zostali uratowani. I autentycznie myśmy się nimi cieszyli. Niestety oni przetrwali tylko 10 dni, bo to były czelne oddziały, które to fiły na luz i poszły w głąb. I wtedy właśnie Niemcy wykonali to kontruderzenie od Podhajec i zgasiłi ich dosłownie. Poszli potem w kierunku na Buczacz i uchwycili częściowo tę armię, która spod Kamienca przebijając się znów w stronę Buczacza. W tym czasie Podhajec bardzo ucierpiała, były ofiary w cywilnej ludności, bo i naloty i walki były i to o samo miasto. Niemcy wrócili na kwiecień, maj, czerwiec. Do 20 lipca byli. Ale to wszystko miało swoje błogosławione następstwa. Podhajec stały się bazą wojskową i później front się ustalił na rzece Strypie i na tej rzece to jest od Podhajec 20 km na wschód front się ustalił i tak przetrwał aż do 21 - 22 lipca. Żyćot tej ludności, to był żywot przedfrontowego miasteczka narażonego na rekwizycje, zabierali krowy itp. Gorza sprawa była z Żydami, którzy się przechowywali, jak walczyli Sowieci, to oni wyszli nie przeczuwając. A później nie zdążyli z nimi pójść i przepaść. Niektórzy nie dowierzali Sowiетom, nie ujawniali się i okazało się

w sierpniu, że przeżyli. Działalność AK trwała jeszcze do lipca. Przyszła ofenzywa letnia sowiecka, wielka bitwa pod Brodami. Runęli ruszyli. W jednym czasie Lwów zdobyli i weszli do Podhajec i poszli na południe - w kierunku Dniestru. Zanim to nastąpiło, w tym okresie przejściowym od kwietnia, w tej atmosferze przyfrontowej, to wtedy istny exodus ludności nastąpił.

Myśmy znówu byli zadowoleni, że nastąpiła zmiana, że tamci odchodzą. Tym bardziej, że się mówiło, że Sowietci wchodzi jako sojusznik. Tamto społeczeństwo w Podhajcach na lep tego manifestu nie poszło - ludzie mówili, że to jest "Targowica". Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że blankiety manifestu wydrukowane są w Moskwie. My działalność akowską jako taką zamknęliśmy, zresztą był rozkaz formalnie na piśmie żeby zamknąć. I to słuszne było, bo AK miało charakter konspiracji przeciw Niemcom. Ale broni nie ujawnialiśmy, zachowaliśmy ze względu samoobrony przeciw Ukraińcom, bo ciągle trwał ten sam stan wrzenia.

Front poszedł. Podhajec ciągle były zagrożone. Zorganizowaliśmy czujki i patrole. Radzieckie władze szły na to, że trzeba zorganizować samoobronę. Więc to za ich cichą zgodą było. Wobec tego tę broń mieliśmy, w razie czego mogliśmy jej użyć. To było później interpretowane, że wcale AK nie zaprzestało swojej działalności, najlepszy dowód - to broń, czyli miało antysowiecki charakter. Powiadam jeszcze raz, żadnej antysowieckiej działalności myśmy nie prowadzili, a zachowanie broni i tych struktur miało charakter wyłącznie samoobronnej defensywy w stosunku do Ukraińców, którzy jeszcze ciągle byli bardzo groźni. Padali ofiarami mordów i napadów także i funkcjonariusze sowieccy. Przecież uczestniczyłem w pogrzebie zamordowanego obywatela ZSRR Toporkowa, lotnika. Więc władze sowieckie były zainteresowane, żeby utrzymać w terenie porządek przy po-

mocy tych szczupłych sił, które mieli, bo wszyscy poszli za frontem. Wobec tego zaangażowali Polaków. I to był błąd. Młodzież nasza rzuciła się i zorganizowano takie oddziały "instrebitielne bataliony". Pod patronatem NKWD część naszej młodzieży współpracowała z nimi dla pacyfikacji i kontroli terenu. I wtedy stały się niepotrzebne rzeczy. Kto wie - czyto nie było zaaranżowane, żeby jeszcze bardziej rozjątrzyć. Moja opinia była taka - nie iść na to, to nie nasza sprawa, niech oni swoimi siłami opanowują teren a my będziemy bronić się w przypadku, gdy będziemy zaatakowani. Niestety, dużo młodzieży poszło. Ukraińcy mieli straszne pretensje o to, że Polacy idą ręką w rękę z Sowietami. Były ekspedycje karne, to rozjątrzyło jeszcze sprawę. Ktoś widocznie, kto reżyserował był w tym zainteresowany. W każdym razie utworzyła się rejonowa władza radziecka w Podhajcach. Najważniejsze znaczenie miał wojenkomat, który ogłosił mobilizację do armii Ukraińców. Dla Polaków osobny werbunek do polskiego wojska. Otóż tu powstał problem. Młodzież, która kieruje się zapalem, szła chętnie. My - starszyzna akowska uważaliśmy, że należy to zbojkotować, że te władze nie mają prawa dysponować i przeprowadzać mobilizacji. Bo jest jeszcze ciągle nasz rząd w Londynie, który my respektujemy i którego polecenia myśmy wykonywali i on jest innego zdania. Więc zrobił się rozłam. Ja osobiście nie zgłosiłem się. Poszedłem do pracy na pocztę i praca na pocztę mnie reklamowała. Młodzieży poszło bardzo dużo z pieśnią na ustach. Najpierw nastrój był nawet przyjemny. Młodzież maszerowała z bronią /NKWD nawet broń im udostępniło/ po ulicach, śpiewali polskie piosenki. Ale później, gdzieś już w październiku, pamiętam, oddział cały, jakichś 120 chłopców - pomaszerował do Czortkowa, gdzie był punkt zborny już przeznaczony do wojska polskiego. A to osłabiało naszą sytuację.

W ciągu 1944 roku kiedy zbliżał się front - był problem, jak teraz AK ma się zachować wobec nowej władzy, która nadejdzie. Docierały do mnie instrukcje i powoływanie się na zarządzenia i cywilnych władz premiera Mikołajczyka i naczelnego wodza w Londynie - trwać na swoim miejscu. Porzucenie samowolno będzie traktowane jako dezercja. Wy będziecie tam świadectwem polskiego żywiołu, państwa polskiego. Jeżeli my stamtąd odstępimy, to znaczy, że wogóle pasujemy. Ja osobiście to dosłownie wziąłem. Poza tym taką funkcję pełniłem w kompanii, więc nie mogłem. Ale skoro do mnie przychodzili obarczeni rodzinami itd. to mówiłem rób jak chcesz człowieku, na moją odpowiedzialność, 'jedź, bo tu nic dobrego nas nie spotka, a ty ze względu na dzieci itd. Mój brat Kazimierz z czworgiem dzieci też się wahał, należał do AK, jako nauczyciel w oświacie podziemnej pracował. Moi rodzice wyjechali jeszcze jak Niemcy byli w czerwcu 44 roku, bo dostali wagony. Wyjechali do Myślenic, tam brat i siostra do tej pory mieszkają, a rodzice tam są pochowani. Wyjechali bo nie chcieli już ryzykować. Przede wszystkim moja mama się obawiała, nie chciała być zarżnięta przez Ukraińców. Ponieważ miała dobre układy z sąsiadami Ukraińcami, sąsiadka Ukrainka - łała rękę nad mamą, że straszne czasy idą i nie chciałaby naszej krwi widzieć na podwórzu. Mama była tak zaniepokojona, że sama osobiście jedź do Myślenic, żeby się upewnić. No już rodzinne układy. Tam była bratowa, narzeczona mego brata, który był w Woldenbergu, w obozie jenieckim i ona zadeklarowała - proszę bardzo przyjechać, bo do niej docierało, co tam się dzieje. I rodzice, brat, siostra, która była już wdową - pojechali. Ja zostałem ponieważ mnie zobowiązywał rozkaz, miałem taką funkcję, że pozwolić sobie na to nie mogłem. Słowa Słowackiego tu zawytuję -- "póki okręt walczył, siedziałem na maszcie, a gdy tonął z okrętem poszedłem pod wodę".

Na przełomie grudnia 1944 i stycznia 1945 roku dotarły do nas wiadomości o masowych aresztowaniach AK-owców we Lwowie. Wkrótce ta złowroga akcja objęła Podhajce; mianowicie 17.I.1945 r. został aresztowany Zbigniew Lis - w okresie okupacji niemieckiej /pod koniec/ był komendantem obwodu AK na Podhajce i powiat. Tego samego dnia po południu aresztowano również mnie. Jak później się okazało aresztowania przebiegały planowo, ponieważ KGB nie wiadomo w jaki sposób, prawdopodobnie posiadała wykazy członków AK z wymienionymi funkcjami. Do dzisiaj zostaje to tajemnicą, kto udostępnił KGB wykazy członków AK.

A teraz wymieniam osoby aresztowane w tym samym czasie z terenu Podhajec. Oprócz wymienionych wyżej Lisa i mnie:

3. Ludwik Dobrowolski - dowódca plutonu /zmarł w Wrkucie/
4. Władysław Wińczuk - oficer wywiadu, obecnie nie żyje
5. Andrzej Zacharków
6. Czesław Gajczak
7. Marcin Listwan
8. Władysław Szewczyk
9. Władysław Lutkiewicz
10. Kazimierz Sokołowski /mój teść/
- 11 Jan Moliński
12. Kazimierz Bauman - zmarł w Czortkowie w więzieniu
13. ks. Józef Popkiewicz - z Czortkowa, został zwolniony ✓
14. ks. Dwucet - z Czortkowa, zwolniony ✓
15. Janusz Sygit - pełnił funkcję w zwiadzie, żyje
16. Władysław Bajdak - był komendantem obwodu Podhajce przed Lisem, *nie żyje* ✓
17. pan Sorokowski /nie pamiętam imienia/
- 18 pan *Józef Ruczyński*

Z aresztowanych kobiet z AK pamiętam:

1. Jadwiga Galusińska *obecnie mieszka w Warszawie*
2. siostra zakonu Durdylówna - nauczycielka - zmarła w głębi ZSRR
3. Eleonora Bauman - córka K. Baumana, zmarła na terenie ZSRR
4. Kazimiera Bajdakówna - siostra Władysława Bajdaka
5. Stanisława Dobrowolska - żona Ludwika Dobrowolskiego,
zam. obecnie w Żelaznym

Podhajce stanowiły obwód AK podlegający Inspektoratowi w Brzeżanach wchodzący w skład okręgu Tarnopol, obsługu AK we Lwowie.

Obwód w Podhajcach składał się z trzech kompanii kadrowych:

1. kompania w Małowodach, 2-ga w Paniowicach i 3-cia w Nowosiółce, Bekierowie i Białokrynicy koło Podhajec.

Liczebność mojej kompanii wynosiła około 50 ludzi - byli to dowódcy poszczególnych plutonów, ich zastępcy, dowódcy drużyn i ich zastępcy oraz szeregowi żołnierze. Razem wzięwszy była to kadra, która miała być uzupełniana przez upatrzonych odpowiednich ludzi - formalnie niezakonspirowanych - w razie realizacji planu Busza.

Natomiast w samych Podhajcach było dowództwo i sztab obwodu.

Opisana wyżej akcja aresztowań z wyszczególnieniem osób, zasługuje na uwagę, gdyż wiadomo mi obecnie, że tak oszczędnie i tak dużej liczby /proporcjonalnie/ aresztowań jak w Podhajcach, nie było w sąsiednich miastach powiatowych jak Brzeżany, Trembowla, Rohatyn czy Buczacze, Przemyślany i Zborów.

Rozprawa przed trybunałem wojennym tarnopolskiego okręgu naszej podhajeckiej grupy miała miejsce w Czortkowie pod koniec sierpnia 1945 r. Wyczuwało się, że odpowiednie władze oczekiwały z osądzeniem na zakończenie wojny, procesu 16-tu w Moskwie i zakończenie konferencji w Poczdamie ustalającej zachodnią granicę Polski.

Ustalenia te dawały podstawę władzom do traktowania nas jako obywateli radzieckich, dopuszczających się zdrady wobec ZSRR przez przynależność do AK, podlegającej rządowi w Londynie.

Rozprawa trwała trzy dni; byliśmy na nią doprowadzani z więzienia a sędził trybunał w liczbie 3-ich osób a mianowicie: przewodniczący podoficer - wojskowy w mundurze, oprócz tego szeregowy żołnierz w mundurze, oraz po cywilnemu mieszkanka Czortkowa - Żydówka.

Zarzut był absurdalny: sądzono nas z art. 54 kodeksu karnego za zdradę ojczyzny. Wyroki zapadały następująco: po 20 lat katongi - Lis i Bajdach ich dwóch, po 15 lat - 10 wyroków "katorżnych robót w oddalonych rejonach - "strany". Pozostali i kobiety otrzymali po 10 lat łagru.

Cała grupa zaprzeczała narzucanemu nam obywatelstwa radzieckiego i wszyscy odmówili złożenia podpisu pod wyrokiem. W ostatnim słowie każdy z nas i na swój sposób protestował przeciwko temu co się dzieje, podkreślaliśmy, że naszym obowiązkiem było należeć do AK i walczyć z Niemcami. Absurdem było zarzucanie nam zdrady wobec ZSRR jako naszej ojczyzny. Muszę przyznać, że postawa na procesie była wsparta i gdyby Polska mogła to słyszeć, to mogłaby być dumna ze swoich cór i synów.

Cała grupa - po jakichś 2-3 tygodniach po aresztowaniu - wywieziona ^{z Czortkowa (Integracja Podkarpacie)} do Czortkowa na Podolu. Tarnopol był wtedy kompletnie zniszczony i w Czortkowie mieściła się siedziba województwa /obłasti/. Tam było już przygotowane normalne więzienie. Dlaczego nie zdecydowałem się na ucieczkę, to mówiłem. Natomiast opowiadano o tym i owym, że komuś udało się uciec przed aresztowaniem. Jak już wiadomo było, o co chodzi. Jeden ksiądz uciekł /nazwisko ^{Integracja} nie rozumiem/ -- oni z jednej strony wchodzili- on miał szczęście, rzucił przez okno wyskoczył w drugą stronę pomiędzy ludzi.

Kilka osób uciekło, które z całą pewnością byłyby aresztowane, bo pełnili jakieś funkcje.

W Czortkowie osadzono nas w więzieniu. Pchał się Boże jakie to było więzienie. Czynszowe kamieniczki dostosowane do celów więziennych

piwnice przeznaczono normalnie na węgiel, z betonową podłogą, niskie, tak że na całą wysokość nie można było się wyprostować. I w takiej piwnicy 22, 23, 24 ludzi skłamszonych było do tego stopnia, że kiedyśmy doczekali do czerwca - kiedy upały były, to jeden od drugiego odsuwał się, bo ciała parowały się nawzajem. Ludzie w tym zdeprawowaniu skakali sobie do oczu. Większość tam była Ukraińców, to jeszcze była dodatkowa dla nas udręka.

Kiedy przywieziono nas do więzienia, porozdzielano, od razu pod kątem przyszłego śledztwa. Kiedy wszedłem do celi i natrafiłem z hałasem za mną drzwi, to zdawało mi się, że wszedłem w piekło. To zawsze jest sensacja w celi jak ktoś nowy wejdzie, więc widzę jakieś poruszenie. Podchodzą do mnie tacy z brodami, szarżnięci, oczy błyszczące i zaczęli mnie iżdagować po ukraińsku. To ja sobie myślę, gdzie ja się dostałem? Ale było kilku Polaków. Ja absolutnie przed Ukraińcami nie chciałem udawać Ukraińca, zresztą nie znałem na tyle języka itd., więc odpowiedziałem od razu, żeby sprawa była jasną, że jestem z Podhajec, że jestem Polakiem. Polacy jak to usłyszeli, zaraz mnie wzięli między siebie. Ukraińców było nieco więcej. Po kilku dniach pamiętam został wpuszczony taki młody chłopak, młodszy ode mnie, niejaki Jakubczyk z Czortkowa, mizernej postury. Położyli mnie razem go ulokowali, zżępcze na ucho ... on powiada - w Jakcie przesądzono o tym, że pół Polski przechodzi do Związku Sowieckiego. Nasz rząd zaprotestował przeciw temu, ale my wiemy, że to jest protestacja pła-toniczna. I wtedy ja sobie zdałem sprawę, jakie do tego mogło dojść. Tego w najgorszych przewidywaniach nie spodziewaliśmy się. Bo wiele wątpliwości w toku wojny było. Jak Niemcy triumfy takie osiągal, Paryż zdobywali. Na Norwegię - ta błyskotliwa kampania była z punktu widzenia strategiczno - militarnego, to tylko gratulować. Jak już oni na Bałkanach byli, to mogły nadejść wątpliwości dla przeciwnego

Polaka takiego jak ja, czy aby jest nadzieja, czy oni nie opanują świata. Mimo to intuicja mówiła, to się nie może tak skończyć. Ale żeby tak to się skończyło ... Do 41 roku nie wiadomo było po czyjej Sowietci są stronie, a raczej gospodarczo współpracowali z Niemcami. Przypadkowo, tylko dlatego, że napadnięci - znaleźli się w obozie aliantów, żeby oni nas zaanektowali. Oczywiście to kolos i mikiony, oni szafowali krwią. Nas zupełnie przelicytowali, zdystansowali i w Jalcie postawili na swoim. To się w głowie nie mieściło, to była gorycz, która rozdzierała serce.

Śledztwa nie miałem ciężkiego, bo z końcem lutego zachorowałem na tyfus. Wyizolowano mnie, rzucono do komórki kwadratowej w tym więzieniu w piwnicy, gdzie była prycza drewniana i do środka nikt nie wchodził, tylko przez judasza pytano, czy żyję. Ponieważ oni co wieczór sprawdzają stan celi, kłopot ze mną mieli, bo nie wiedzieli czy liczyć mnie do żywych czy zmarłych. Lekarstwa żadnego nie dostawałem, to szło na przetrzymanie. Szczęśliwym trafem dostałem "peredacze". Nieżyjącej mojej żonie Stanisławie z Sokołowskich muszę też poświęcić parę słów, bohaterka sylwetka. Bo ona co dzień była w takim żalosnym położeniu. Trzy razy dozwolony był do Czortkowa dowóz "peredaczy". Ani razu żona nie podała przez kogoś, tylko sama, na odrótⁱⁿ innym jeszcze zabierała /w sensie wozika/. I wozika to poprzez ukraińskie wsie, z jakim narażeniem. Prawda, że u tych Pękalskich, to były świetne konie, świetny wóz, ale to było 70 km. Trzeba było przejść upokorzenia, bo wszystko było kontrolowane. Mimo to, kontakt udało się nawiązać poprzez wszystkie do szwu na bibułce wiadomości - wszywane do kaleson, albo w czapeczce do daszka. Jeszcze raz podkreślam, że nie o mnie chodzi, ale o dziesiątki, tysiące, bo jeden, dwóch może przepaść i nie ma sprawy. Do nas dotarła wiadomość, że na Trzech Króli 6 stycznia w 1945 roku w nagonce na AK jednej

nocy 5000 Akowców wyłowiono w samym Lwowie.

Dzięki temu, że zachorowałem na tyfus, mnie śledztwo lekko przeszło. I te wszystkie konfrontacje bardzo nieprzyjemne też mnie omi-
nęły. Podczas konfrontacji doprowadzano różne osoby. Ten sobie za-
pamiętał taką wersję, tamten inną, ten dla swoich celów wymyślił ta-
ką wersję, tamten inną. Jeden do drugiego miał rozmaite pretensje,
ponieważ NKWD stosowali prowokacje. "My traktowaliśmy ciebie jako
uczciwego, ty mówisz tak i tak, ale twój "drug" mówi co innego -
chcesz przyprowadzimy". Przyprowadzają, sadząją tego, sadząją tam-
tego, każdy mówi swoje i wiadomo ktoś musi ustąpić.

Przed moimi imieninami jako rekonwalescent wróciłem do tej samej
celi, z której mnie zabrano i tam mnie moi owacyjnie przyjęli.
Poza tym nakarmili mnie, czym mogli mnie dobrać, bo ja byłem wyposz-
czony. Nie wolno takiemu człowiekowi po tyfusie dać jeść. A ja zjad-
łem kotleta, którego trzymali przy oknie. Pamięć słów o moim pobycie
w izolatce. Wiadomo, że tyfus jest zakaźny, wszyscy się boją, więc
porozumiewano się przez judasza, drzwi otwierano i podrzucano zupy,
względnie "peredacze", bo raz tę "peredacze" siostra przysłała akurat
w tym momencie, kiedy już kryzys się przesilił i dostałem rosół z
kurczakiem - to życie do mnie wracało. To była okropna gorączka,
która wyłączyła mnie z tego świata. Kiedy nastąpił kryzys, w którym
dniu nie wiem, byłem tam ponad dwa tygodnie i czy to była noc czy
dzień, absolutnie nie miałem pojęcia, przyszedł moment taki, że wy-
ciągnąłem się na tej pryczy, a byłem nakryty tylko swoimi łachami,
kurtką, co miałem i wróciła przytomność w jakimś zakresie. Bo zda-
łem sobie sprawę, gdzie jestem, że coś niedobrego ze mną i poczułem,
że sztywnieją kończyny. Uderzyłem nogą o mur i słyszę, że jak dREW-
niana - nieswoja, wyraźnie czułem, że ziębnie, że kończy-ny ziębną
i sztywnieją. I to samo w rękach, palcami uderzam jakby drewnianymi.

Pomyślałem sobie, aha to jest ten moment. Muszę przypilnować teraz swoją świadomość, mieć kontrolę nad tym, kiedy nastąpi rozszczepienie. Czyli moja świadomość musi nie pozwolić na to, ażeby zobaczyć, kiedy już te zwłoki i ta powłoka rozstała z duszą. I tak się ustawiłem do tego psychicznie i odmówiłem akt strzelisty: Jezus Maria Józefie bądźcie przy mnie przy skonańku moim. I w jakimś takim bardzo szybkim - jak gdyby filmie - przesunęły się moje dzieciństwo, moje lata przed moją świadomością i straciłem przytomność. Czy usnąłem, czy straciłem świadomość, czy gorączka przeszła, w każdym razie ta sztuka nie wyszła mi. Kiedy się obudziłem, to weszły we mnie siły, i zdałem sobie sprawę, że tamto to był tylko jakiś kosmar, a ja jestem i zdałem sobie sprawę, że wraca zdrowie. Uderzam ręką, ja jestem w tej samej sytuacji i żal do losu, po co ja się obudziłem.

Wracam do siebie. W pewnym okresie maj, czerwiec, lipiec, ale kiedyśmy byli jeszcze w tym śledczym areszcie tak się ułożyło, że akurat było pół na pół Ukraińców i Polaków. Oni byli pod jedną ścianą, a my pod drugą. Cały dzień w kucki się śledziało, a tylko w nocy można się było wyciągnąć z tym, że nogi za nogi zachodziły. Walczyło się, żeby nogi nie przylegały, bo parzyło - było gorąco. A jak ktoś się dusił, to podchodził pod okienko i tam spływało trochę chłodnego powietrza i tam jak ryba chwytął to powietrze żeby się troszeczkę odświeżyć, i to na zmianę. Zazdroszczono tym, którzy tam mieli miejsca. Ale taki jest porządek więzienny, że kto przychodzi to koło paraszy, tak że ja po 3 - 4 miesiącach byłem już przy okienku.

Układy z Ukraińcami mieliśmy dobre, bo wspólna dola itd. Humor nie opuszczał nas i tam. Tak się dowcipnie ułożyło, że jeden z Polaków został po ukraińskiej stronie celi, a jeden z Ukraińców po

naszej stronie. Tośmy mówili, że pan Jasiński z Buczacza to jest nasz ambasador u was, a pan Czeremszyński - to wasz po naszej stronie. Jeżeli my chcemy się z wami porozumieć, to my jemu powiemy i on przejdzie na waszą stronę i nam udzieli odpowiedzi. Doszliśmy do wniosku, że jakoś ten dzień trzeba rozpocząć i w tym położeniu godność ludzka się odezwała w nas. Porozumieliśmy się i zawiadomiliśmy przez ambasadora Ukraińców, że my postanawiamy z rana, po zrobieniu porządków, po odniesieniu ubornej i po śniadaniu odmówić wspólnie modlitwę i jedną zwrotkę "Kiedy ranne wstają zorze", a ich prosiliśmy, żeby zachowywali się przyzwoicie i kulturalnie, jak się należy. Pan Czeremszyński im to przekazał, oni zaakceptowali i wtedy oni też podciągali się, siadali i pogrążali w kontemplacji. A myśmy odmawiali pacierz, odśpiewali pierwszą zwrotkę. To miało znaczenie. Myśmy tam wszyscy byli wierzący, a z drugiej strony to był jakiś duchowy pokarm, jakieś wzmocnienie się, pokrzepienie ducha. Po dwóch, trzech dniach oni przekazali przez pana Jasińskiego, że oni też będą odmawiać pacierz i proszą żebyśmy też z uszanowaniem w tym czasie się zachowywali. I wtedy ja się nasłuchiwałem bo bardzo ładnie śpiewali to "Otcze nasz".

Z Polaków, którzy tam byli - wymienię: pan Czabanowski z Tarnopola /to był starszy zacny pan z oświaty/, pan inżynier Józef Czarniecki spod Tarnopola /inżynier rolnik „dublańczyk”/, pan Szewczyk, pan Zacharkow, pan Łudkiewicz - trzej z Podhajec, pan Wolski z Monasterzysk, pan Doszla z Buczacza, pan Dobrzański z Tarnopola i pan Jakubczyk z Czortkowa, o którym wspomniałem, że przyniósł fatalną wiadomość o jałtańskiej konferencji.

Jak już mówiłem, w ciągu września przerzucano nas do więzienia prawdziwego w Czortkowie. Tam odpoczęliśmy rzeczywiście, a w ostatnich dniach października przygotowano nas na etap, uformowano na podwórzu więziennym w kolumnę. Przygotowani już byli po tamtej stro-

nie bramy konwojenci z automatami i z psami. Kwitowanie - tyle i tyle, każdy przechodzi, z nazwiska przedstawia się: Naczelnik konwoju odbiera go. On ma tyle kartek z nazwiskami, ile ludzi odebrał. Człowiek tam jest pieczołowicie pilnowany. Ulicami Czortkowa szliśmy z górki. Pamiętam, że to był październik, liście opadały - jakby nas żegnały, ludzie odwracali się, bo taki tam strach był, że nikt nie pozwolił sobie na jakieś kiwnięcie, uśmiech czy zainteresowanie. Szła taka ponura kolumna. Myśmy się oglądali, a z ulic ludzie wręcz znikali. I tak doszliśmy do stacji, wagony były podstawione i ładowano nas do stołypińskich wagonów. Tymi wagonami wyruszyliśmy poprzecz Tarnopol, w kierunku na Podwołoczyska i tu zdaliśmy sobie sprawę, że żegnamy Polskę. Ukraińcy, którzy stanowili większość wielu nadzieję i z nami lojalnie się dzielili tę wiadomością, że na przestrzeni między Tarnopolem a Podwołoczyskami oni się liczą z próbą odbicia, bo partyzantka ukraińska tam szaleje i kontrolowała teren. Tylko w miastach władza sowiecka się trzymała - front poszedł, a na tyłach oni tylu ludzi nie mieli. Ale do tego nie doszło. Przez Podwołoczyska przejeżdżaliśmy, akurat w jednym przedziale siedziałem z moim teściem Kazimierzem Sokołowskim, który bardzo się rozrzewnił, bo on w Podwołoczyskach jako dyżurny ruchu jakiś czas pracował i znał te strony. I powiada - popatrz, tu Stasia /moja żona/ jako mała dziewczynka poszła się kąpać w Zbruczu /to mała rzeczka graniczna/ i wpakowała się na tamtą stronę. I My przez władze KOP-u sprowadziliśmy ją, były kłopoty itp. Przejeżdżaliśmy dalej Wołoczyska, teść pokazał mi - tu był majątek Ledóchowskich. Pojechaliśmy na Hreczany, Białocerkiew. Jedliśmy bardzo namiętnie, w beczułkach była "komsa" rybka w całości z ogonkami, słone to było diabelnie. Dwa razy dziennie to dostawaliśmy i do tego kawałek chleba i kipiaterki dwa razy. Jeżeli komuś jeszcze coś zostało z peredaczy, ale to był rzadki przypadek, bo w połowie września urwała się łączność z ro-

dzinami, a to pod koniec października się działo. Pamiętam, że do-
tałem wtedy, widocznie z braku witamin, wysypki na nogach, krosty
mi pękały i posoka ciekła. Zanim dojechaliśmy do Kijowa patrzyliśmy
przez te zakratowane okna na te strony, na tę Ukrainę i mówiliśmy,
jakby to wszystko w XVII wieku się działo, aż dziw, że nie widać
uganiających się Kozaków i Tatarów - ugor, step, pusto i nie widać
cywilizacji XX wieku na tych ziemiach. Na jakiejś stacji podeszły do
wagonów jakieś dzieciaki, konwojenci je odginali, jaka paradoksal-
na sytuacja - dzieciśka podbiegały, prosiły żeby im coś dać. Wyrost-
ki takie po 12 lat podchodziły. To w jakim ci ludzie byli położeniu,
żeby od takich nędzarzy jak my prosić. Oczywiście, wiadomo, że to
był czas wojenny.

I tak przejechaliśmy przez Kijów, przez Połtawę do Charkowa.
To trwało tydzień, czy 8 - 9 dni, to już nie powiem. W Charkowie od-
stawiono nas na bocznicę i trzy dni trzymano nas na boku. Dotarło do
nas, że Charków nie może nas przyjąć. W Charkowie była peresyłka -
etapowe więzienie i tam przygotowuje się ludzi do dalszej wysyłki.
Tam troszkę się ich podkarmia, ażeby ludzie byli przygotowani do kil-
kutygodniowych etapów. Na tej peresyłce aktualnie przebywało około
30 000 ludzi.

Po trzech dniach wyjeżdżamy z Charkowa. Po jakimś czasie przy-
jechaliśmy do Dnieropetrowska. To już było w ostatnich dniach paź-
dziernika. Wyładowano nas. W moim przekonaniu więzienie było na prze-
ciwległym końcu miasta - budynki więzienne z cegły czerwonej budowa-
ne, czerwonym murem obwiedzione; mówiono, że to jeszcze "jekateryńska
tiurma" - nad samym Dnieprem. Przez całe miasto przedfilowaliśmy,
oczywiście konwojenci, psy. Ludzi nie było widać, miasto jak wymarłe.
Jeżeli ktoś się zjawił, to od razu zniknął.

Wprowadzają nas, potężny był holl, taki jak kaplica, może to i
była kaplica więzienna, i tam nam kazano przysiąść w kucki na tych

węzłkach, jakieśmy z sobą mieli. Rozstawione były tam stoły, administracja zaczęła z nami robić porządek. To wyglądało na Sąd Ostateczny. Wywoływano z kartoteki i selekcjonowano ludzi. Ludzie ponad 60 lat osobno, osobno mężczyźni, kobiety. Ponad 50 lat osobno, "małoletni" bo byli nieletni, którzy mieli po 16-17 lat - osobno. Kobiety ciężarne osobno. Chorych do lazaretu. To co zostało - znów kobiety młode osobno, czyli wiek od 18 do 50 najbardziej "trudospodobny", o to chodziło i mężczyzn rozsortowano. Wtedy z teściem, który miał ponad 50 lat po raz ostatni się widziałem. On już nie wrócił, tam w Tajszecie gdzie był zesłany, pozostał, nie wytrzymał. Dowiedzieliśmy się później przez Czerwony Krzyż, przyszła wiadomość tej treści: "z głębokim żalem zawiadamiamy, opierając się na informacji Krasnowo Kresta, że Kazimierz Sokołowski niestety 6 stycznia 1951 roku zmarł /nie wiadomo gdzie/." Tylko wiedzieliśmy o tym, że był skierowany do Tajszetu, na wysokości Irkucka, Bajkału.

Pozostałych w grupach po 18 - 20 wprowadzono do celi. Nas wprowadzono do celi Polaków i Ukraińców, tam jeszcze Mołdawianie byli. W celach nas pomieszano z naszymi Ukraińcami galicyjskimi. Tam byłem przez dwa miesiące, ale etap moich współtowarzyszy niedoli i tych Ukraińców z tej celi po miesiącu został wyprowadzony. Ponieważ ja miałem chore nogi, widocznie odpowiednie władze uznały, że trzeba je podleczyć. Przesłatkowałem więc tam Boże Narodzenie /w swoim umyśle i swoich wspomnieniach/ i na etap zabrano mnie na przełomie roku 1945/46, prawdopodobnie w Sylwestra. Czyli nas przez ten miesiąc, a w moim przypadku dwa, podkarmiono, dawano troszkę jeść lepiej. Dalej dezynfekcja, odwszawianie, sanobroboty. Lekarstw nie dostawałem, tylko lepsze jedzenie i to mi przyszło i przeszło. I znowu ulicami w zimowy dzień. Zima była tam bardzo surowa. Konwojem poprowadzono nas na stację, załadowano i zaczęła się podróż.

W wagonie były nary rozstawione. Byłem sam jeden wśród Ukraińców, chyba około pięćdziesięciu kilku osób tam było. Sytuacja bardzo delikatna, ba nawet bardzo ryzykowna, oczywiście ja grałem w otwarte karty. Nawet nie przyszło mi do głowy, żebym maskował się, bo to jest najgorsze. Mówiłem- ja jestem w tej samej sytuacji co wy, jestem Polakiem, po ukraińsku słabo mówię, wspólna nasza dola i wspólne przeznaczenie. Mogli bardzo łatwo mnie udusić, chociaż ja o takich wypadkach nie słyszałem. Nie miałem kłopotu pod tym względem. Kładliśmy się spać nie rozbierając się i przytulając się jeden do drugiego. Na środku był otwór z zasuwą dla celów sanitarnych i przy nim był piecyk żelazny, do którego codziennie dawano węgiel, ażeby jako tako można się ogrzać. On grzał o tyle jak się do niego podchodziło, to można było się ogrzać, przecież piecyk ten nie był w stanie rozgrzać całego wagonu. W miarę tego jak jechaliśmy, po słońcu widzieliśmy, że jedziemy zdecydowanie w kierunku północnym, północno-wschodnim. Przejeżdżaliśmy przez Moskwę, a później na Wołogdę, Jarosław, później odchylenie było w kierunku północno-wschodnim. Okazuje się żeśmy jechali tą trasą Moskwa-Workuta, którą w 1939 roku do 1941 r. polscy więźniowie budowali i tam na Workucie mówiono, pod każdą "szpałą" jest jeden Polak. Aż do samej Workuty linia kolejowa została doprowadzona. Podróż trwała ponad dwa tygodnie. Karmiono nas w zależności od stacji, nie było regularnie, bez przestrzegania godzin, gdy dojeżdżaliśmy do stacji - odstawiano nas na jakąś bocznice i wtedy podawali żywność. To był "kipiatok" i jakaś zupa, chleb. To odbywało się dwa razy dziennie. W porównaniu do tego co w transporcie do Dniepropietrowska z Czertkowa, to było lepiej. Jechaliśmy dalej. Spaliśmy, w monotonię tak, człowiek popadł "melancholię więzienną". Konwojenci pozwalali sobie na złośliwości wobec nas, traktowali to jako żart. Otwierali wagony, upadali i z takimi na długich trzonkach młotkami bębniłi po sufitach, czy czasem nie ma

prób wyłamania desek, bili o podłogę, nas przeganiali w jedną to drugą stronę, a później rewizję robili, czy nie mamy jakiś ostrzy metalowych czy noży. Odzież nam ściągano i rzucono na podłogę. Światła żadnego tam nie było...

Dostałem po głowie, aż mi się zaświeciły gwiazdy w oczach. Wyszli i powiadają, że za pół godziny ma być idealna cisza i spokój. Więc pamiętam, że to wszystko przerzucone zostało koło piecyka, drzwi zostały otwarte - tyle było światła. Nie znałem w języku ukraińskim nazw rozmaitych części odzieży, ale nie było tego, żeby ktoś komuś coś zabrał, tam już solidarność obowiązywała. Wreszcie tę odzież porozdzielaliśmy. Takie szyskany miały miejsce.

Dojechaliśmy gdzieś około 19 - 20 stycznia do Workuty. Wyszli nas tam z wagonów na taki plac ... tam nas formują dopiero. Przygotowują do marszu jakiegoś, nie wiemy gdzie. Kolumny formują czwórkami, sprawdzają, to trwa - mroz taki, że trzeszczy wszystko. Gdy przyjechaliśmy tam było poniżej 30 stopni. Od razu mieli stopy "czuć", takie z materiału ocieplane buty. I kazali się przebierać, to było pod jakimś zadaszeniem. Później patrzyli, kto jest lekko ubrany, to dawali jeszcze coś, odzież i wyprowadzali w takich szeregach - rzędach ustawiali. Przypomniałem sobie obraz Artura Grotgera "Pochód na Sybir". Prowadzą nas, konwojenci każą iść, to my idziemy: mówią, że tam nas przyjmą, nakarmią i wykapią. W tym czasie zerwała się tzw. "purga" i to naprzeciw nas. Patrzyliśmy tylko, żeby się nie zgubić. Myślałem sobie, gdzie my jesteśmy? Tego myśmy nie wiedzieli, że to akurat Workuta. Głęboko tak śpiesznym szli krokiem, takie skojarzenia miałem jak gdybym napis na nieboskłonie zobaczył potężny - "porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu przybywacie" - Dante - "Piekło".

Wpadliśmy do obozu. Człowiek regeneruje się szybko. Tam rzeczywiście zaopiekowano się nami, nakarmiono, wzięto odzież do odzwania, przez banię przepuszczono "sanobrobotka" - oni mają instrukcje i regulaminy, ona polega na tym, że strzygą, wygalają kto ma wielkie owłosienie. Wpędzają nas i tam kobiecina Ukrainka to wykonywała. Ona nas onieśmiała. Opowiadali koledzy, że wszczęli z nią rozmowę, to ona mówiła, że jest na funkcji, że zadowolona, bo ona jest "małoletka", że ma 5 lat wyroku, to jest drobiazg, że im nie opłaca się takich wozić i oni na miejscu obsługują. 30 000 tych ludzi obsłużyć, to musi być wewnątrz dużo sprzętaczek, fryzjerów, kucharek. Ona była zadowolona, już trzy lata odbyła i to w ciepłym. Pytano ją za co. Otóż za to, że po żniwach na kołchoźnym polu kłosa zbierała. I za zbieranie kłosów dostała 5 lat, matkę od dzieci oderwano i posłano do obozu. To ja się pytam, czy był taki dziedzic, ażeby ze swego pola po zbiorach, po żniwach pogonił. Mógł być taki, że sam poszedł - pogonił, ale on nie miał prawa odebrać wolności.

W Workucie nas rozdzielono i rozsyłano do poszczególnych "szach". Szachty to są kopalnie węgla. Całość nazywała się "Kombinat Workut-Ugol". Ja trafiłem na "szachta wtorej bis". Poprowadzono mnie do pracy. Akurat trafiłem przy pierwszym wejściu na drugą zmianę od 14-tej. Po to, żebyśmy na 14-tą znaleźli się w kopalni, to o 12-tej już nas goniono z baraków, ażeby nas w kolumny zebrać, bo konwojenci na nas czekają, ażeby nas przekazać, przez tundrę przeprowadzić, a kopalnia żeby nas odebrała. Śniadanie zjeść trzeba było gdzieś koło 7-mej, a o pół do dwunastej był obiad. Ten obiad pożał się Boże, bo już o 12-tej najdalej pół do pierwszej, goniono na wartownię, tam przeliczają. Naczelnik konwoju, który odebrał więźniów, przeprowadza ich odpowiada za stan itd. To były nieduże odległości - 800 m - wzgl. jeden kilometr mógł być, a na ziemnych robotach to i godzinę szliśmy taki odcinek. Ten naczelnik, który odbierał więźniów, prowadził 100 - 120 ludzi

Zwracał się do nas z takimi sakramentalnymi słowami: "konwojenci są z psami itd - szag na lewo - szag na prawo szariat budiem kak po-bieg, strelat budiem bez predupreżdzenia. Szagom marsz". Szło się jak w kondukcje pogrzebowym, nie śpieszył się nikt, bo nie było po co się śpieszyć, głowy opuszczone i tak szliśmy. W tych pierwszych dniach szalały burze, to był koniec stycznia, początek lutego, zima niesamowita, do której człowiek nie był przyzwyczajony; jakkolwiek ubrany był odpowiednio w te watowane rękawice. Ale mróz palił twarz, podnosiło się kołnierz, jakimś ręcznikiem owijało twarz. Jak z powrotem wracałem, to się modliłem wewnątrz, żebym doszedł, bo zdawałem sobie sprawę, że to tak jak na morzu w czasie burzy, że jak na metr odejdę tylko - koniec, ten śnieg, mróz mnie ogarnie. Jak człowiek przysiadzie, wtedy śmierć jest podobno bardzo lekka. Ratowało się życie każdego dnia i każdego dnia człowiek był wycieńczony pracą. Tu się zaczął mój wiek męski - wiek klęski. Ja miałem wtedy 30 lat, a kiedy włączałem miałem 41 z miesiącami.

Teraz będę mówił o mojej pracy w kopalni. Trafiłem na drugą zmianę, czyli od 14-tej już nas obowiązywały godziny pracy. Zorganizowa-
n~~y~~ byliśmy w brygady i brygady idą w dół. Ta pierwsza kopalnia, w której ja pracowałem, zresztą bardzo krótko na szczęście, to była "ukłon", oni tak nazywają. Nie było windy, tylko po ukłonie scho-
dziło się. Szło się i w miarę tego jak się zeszło jakieś 100 - 150m ciepła woda kapie, rozmarzała na nas odzież, zgina się w łokciach, ale znowu nieprzyjemnie bo kapie, mokre ściany. Wreszcie trafiamy na chodnik, gdzie były szyny i koniki ślepe, które ciągnęły wago-
niki. Koniki te nigdy nie wychodziły stamtąd. Patrzymy na naszych współtowarzyszy, którzy już mają staż. Twarze ich czarne, od wody rozmazane, czerwone wargi, zęby lśniące białe i błyskające oczy - nie wiadomo - ni to Murzyni - ni to dziabły. A klęli tak siarczyście

strasznie, że ja zrozumiałem, że jestem żywcem w piekle, Niesamowita ta ciemność, tu i ówdzie tylko żaróweczki świeciły się, przejeżdżając tymi chodnikami, gdzie pod nogami kałuże, ciągle jakieś przeszkody, kamienie, bryły. Szliśmy jakieś półtorej godziny, ażeby dojść do tego miejsca, gdzie będziemy wykonywać pracę. Ja już kompletnie byłem wyczerpany po samym dojściu już miałem wszystkiego dosyć. A widząc jeszcze tych ludzi, te nieszczęsne koniki i całe to podziemie ... i jeszcze te przekleństwa paraliżowały nas. Człowiek musi pracować, musi się ruszać dla rozgrzewki, mokra odzież, przychodzi ziąb.

W pierwszych dniach ładowałem węgiel szuflą do wagoników. Te wagoniki przesuwano się, później koniki doczepiano i wyprowadzano gdzieś na powierzchnię. Niektórzy z mojej brygady byli już w ścianie. Byli tacy, którzy na kolanach pracowali, niektórzy pracowali tak że musieli leżeć i spoza siebie wygarniali węgiel. Potem te wagoniki trzeba było odebrać i przepchać je. Tam były skłony, gdzie trzeba było podczepić je do tzw. kanat, do linki metalowej. Ta praca to była autentyczna "nastojaszczaja katorga". To wszystko było nasiąknięte wodą. Człowiek tam pracował też dla rozgrzewki. Brygadzysta nie musiał gonić. Były tylko wypadki, że Polakom dokuczano, albo nawet wypadki zabójstwa, które szły na konto wypadku w pracy, przywalili jakąś bryłą kamienia i koniec. Ja akurat z Ukraińcami nic nie miałem. Ale oni tak rozstawiali żeby Polaków nie było w brygadzie za dużo, czasem tylko zdarzało się dwóch.

Zdałem sobie sprawę, że w takich warunkach więcej niż kilka tygodni nie wytrzymam. Nazywało się, że mamy pracować od 10-tej do 6-tej, ale zanim zmiana przyszła, nam nie wolno było porzucić stanowiska. Zmiana to często dobrze jak w godzinę po terminie nas zmieniła. Teraz myśmy szli godzinę z powrotem do obozu. Wychodząc, w

miarę tego jak po tym Ukłonie" się podchodziło, zapal nas mróz i te nasze ubrania sztywniały jak zbroje rycerskie. Szliśmy do takiej poczekalni, gdzie był piec rozpalony, bo węgla tam nie żalowano i tam pokotem wszyscy się kładli i suszyli, ale to przejście od wyjścia z kopalni do poczekalni - 200 m, to tak jak się szło sztywno /mróz/ w kolanach, łokciach nie można było rąk i nóg zgiąć. Tam w poczekalni człowiek się rozparzał, niektórzy ściągali onuce, suszyli. Tam czekało się znów, konwojenci z jedną brygadą nie pójdą, potrzebują całą zmianę - 120 ludzi, a były też bardziej odległe odcinki. Nieraz i dwie - trzy godziny myśmy stracili. Znowu wychodzimy na mróz. Straszne przejście tundrą: wreszcie dochodzimy do siebie, do swoich baraków.

Jakie tam były warunki? Ci, którzy przed 1941 rokiem przebywali w okropnych, niesamowitych warunkach zagospodarowali dla nas obóz. Myśmy byli po nich w jakieś 5 - 6 lat. Barak, w którym mieszkalem wyglądał tak, że środkiem miał chodnik z desek, po bokach były nary piętrowe, na tych narach po trzech miało spać. Pod tymi narami była już ziemia surowa. Dużo było piecyków z lokomobili, to paliło się. Byli starsi więźniowie, po pięćdziesiątce. Oni mieli tak napalić, że jak my przychodziliśmy, to musiało być ciepło. Nie dopilnowali - to lincz. Jak się przychodziło, to się zdejmowało skarpety, kto nie miał do onuce i biegło się prędko do kuchni, żeby zjeść śniadanie. Kolacja była z obiadem jako taka zapiekanka.

Ci, co w kuchni pracowali to była arystokracja, oni byli panami sytuacji, w ciepłym, w dosycie. Ale tam nad nimi rygor był też, że jeżeli ... to pójdziesz do szachty na ogólne roboty. Polak nie miał prawa tam się dostać, bo tylko Rosjanie te funkcje mieli. Te banie, fryzjernie, "chleborezki" oni obsadzili swoimi. Także wewnętrzne roboty w obozie także były lepsze aniżeli chodzenie na szachty, bo miał więcej czasu na wyspanie się. Jak się było wewnątrz, to poszło

się pod kuchnię, coś tam pomogło zrobić, śnieg odgarnąć, to "powar"-kuchnarz coś dał...

Myśmy zastali kopalnie w rozbudowie, kopalnie w eksploatacji, i kopalnie które były dopiero budowane. Ja byłem i w takiej, i w takiej, i w takiej. Były elektrownie, była linia kolejowa, były budynki mieszkalne dla ludzi wolnych /wolnonajemnych/. Te domy były budowane na polach. W późniejszych latach pracowałem w budownictwie - kopanie tych kanałów, transzei pod budowę: jako "zenlekop" pracowałem. Jak myśmy przyjechali w 1946 roku - Worskuta już miała charakter miasta. Ale myśmy z samym miastem i z ludnością nie mieli kontaktu, bo dla nas była OLP /odzież łagiewnego punkta/, czyli "żyłała zona" - strefa mieszkalna, odrutowana, otoczona wieżyczkami, oświetlona dzień i noc. Życie przebiegało w monotoniowości, że w krótkim czasie człowiek przeciszczył się w bezmyślnego woła roboczego. Nadmierne wysiłki fizyczne w takich warunkach wyjątkowo wywołują i następuje nawrót analfabetyzmu. Człowiek głupieje na potęgę, robi się bezwonnym i oziębłym stworzeniem. Wszelkie myśli, mrzonki, fantazja - to wszystko już nam przeszło.

Od czasu do czasu odbywały się tzw. "konisówki" - czyli przeglądy lekarskie, w trakcie których lekarze dokonywali selekcji i ludzi zupełnie wycieńczonych kwalifikowali do odpoczynku tzw. op - "oddechajuszczysz punkt". Miałem to szczęście, że po kilku tygodniach pracy - na przełomie marca i kwietnia 1946 r. znalazłem się w takim punkcie. Była to dla mnie okoliczność zbawienne, ponieważ poprzedniego dnia, zostałem przez Rosjanina - dziesiętnika, który usiłował zaaranżować wypadek w kopalni i zepchnął na mnie dużą bryłę węgla. Cudem wyszedłem z opresji, jedynie pobity, ale u kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Lekarz obozowej komisji nazywał się Waga i był to Słowak z sentymentem odnoszący się do mnie, jako Polaka.

Pobyt w tym punkcie trwał dwa miesiące i uratował mi życie, ponieważ w tym czasie zaaklimatyzowałem się i nabrałem sił.

W czasie pobytu w takim punkcie pacjenci nie byli zatrudnieni, odpoczywali, spali i trochę lepiej byli karmieni. Bez lekarstw młody organizm został zregenerowany. Duże znaczenie dla odzyskania równowagi psychicznej miały, po kilku pierwszych dniach snu, rozmowy i wspomnienia toczone ze współtowarzyszami niedoli - zwłaszcza, jeżeli trafił się Polak. Niestety takie idylla trwała najwyżej dwa miesiące. Przyjeżdżały komisje werbunkowe z innych kopalń i zabierały rekonwalescentów do dalszej pracy. Wyglądało to jak handel żywym towarem, ponieważ dla takiej komisji ustawiano stoły, a nam kazano rozebrać się do naga i wolnym krokiem przechodzić przed obliczem komisji, /poślowie kopalni/. Korzystałem kilkakrotnie z odpoczynku w takich szpitalikach - "oddychających punktach" i to pomogło mi przetrwać ten najcięższy okres przed 1950 rokiem tj. do śmierci Stalina. Zawsze starałem się robić jak najmizerniejsze wrażenie na takiej Komisji. Jak się słyszało, że zapisywali na transport do innej kopalni, to było jak nóż w serce. Jeszcze dał się przespać a na drugi dzień zbierano i formowano etapy. Konwójnicy przychodzili, zabierali i znów nie wiadomo było gdzie. I w taki oto sposób ja byłem na 18-tej, potem na 40-tej kopalni. Ważyłem około 40 kg. Usiąść nie można było, jak się upadło, to taki ból odczuwałem, bo uderzyłem się w kość ogonową. Siadałem bardzo ostrożnie, człowiek podkładał grube rękawice. Przedstawiciele służby zdrowia mówili o tym, że są trzy stopnie dystrofii - pierwsza może przejść, przy drugiej różnie bywa, ale jeżeli ktoś już dostał dystrofii trzeciego stopnia to właściwie są to już nieodwracalne zmiany w organizmie i nawet gdyby wyszedł na wolność, to organizm tego nie przezwycięży. No to ja już byłem drugiego stopnia, miałem takie okresy.

My byliśmy materiałem roboczym. "Materiał roboczy" który przyjeżdżał do kopalni, był przez administrację kwalifikowany na trzy kategorie: LPT, SIT, TPT - Lekki fizyczny trud, średni fizyczny trud i "ciężki", najcięższy fizyczny trud. Okazuje się - że wśród tych z najcięższego - największa śmiertelność była, bo oni liczyli na swoje siły i przeliczali się; być może zatrudniali ich do najcięższej pracy. Ci ze średniej kategorii po zaklimatyzowaniu się przeżywali. Wśród tych dużo się uratowało - większość. Ja byłem zaliczany do średniej kategorii - "SPT".

Później, w kilka lat po wojnie, śmiertelność się unormowała, z tym, że były wypadki w pracy. Oczywiście, tym się nikt nie rozczulał.

W 1950 roku trafiłem do szachty "Kapitałnej" czyli centralnej. Przy niej był cnp szachty kapitałnej. Byłem tam 5 lat od 1950 r. do czerwca 1955 r. Tam było nas około 5000. Narodowościowo - około 2000 Ukraińców, 300 - 400 Rosjan, którzy byli na funkcjach, 300 - 400-tu Białorusinów, po 300 - 400 Łotyszów, Litwinów, Estończyków, Polaków tam było około 100-tu. To się oczywiście w ciągu lat zmieniało. Trafiło się trochę Żydów, Mołdawian, był jeden Anglik, jeden Francuz. Z Kaukazu byli Grizin, Ormianie, Uzbeki, Azerbajdżanie. Stosunkowo mało było tych ze Środkowej Azji, wyśmiali ich "kawkazkij czełowiek" nazywali. Niemcy byli cały czas w osobnych łagrach jeńców wojennych. Natomiast zdarzało się, że spośród nich wyławiano tych, którym można było coś udowodnić, że dopuścili się jakiegoś przestępstwa, ci byli sądzeni i rzućani między nas. Spotykałem takich Niemców. Poza tym do tej "Kapitałnej" dowieziono w latach 1949-50 Niemców z NRD i Polaków z Polski Ludowej. Taki np. Stefan Maciejowski z Kalisza w dzień ślubu został aresztowany, nocy poślubnej już nie odbył. Odpowiednie władze go chwycały i znalazł się na Worsławie z wyrokiem 25 lat. Niesamowite wyroki wtedy zapadały.

Natomiast nie było Czechów, w zasadzie Węgrów się nie widziało też. Był jeden Francuz, nazywał się Claude Zendarm /fonetycznie/, on był z Nancy, w kopalni pracował w tym czasie, kiedy byłem szatnia-
rzem. Lgnął do mnie, bo był bardzo młodziutki, odczuł bratnią duszę, ja mu jakiegoś papierosa wykombinowałem, rozmawialiśmy po niemiecku. Wypowiadał się jak przed ojcem - cały swój życiorys. On był pochwy-
cony przez wywiad w Berlinie Zachodnim - z ulicy. Był w mundurze żoł-
nierza francuskiego. Ponieważ nie chciał zeznawać, to znalazł się
w Workucie z wyrokiem 25 lat. I ślad po nim przepadł. Ten Francuzik,
taki delikatny, wynurzał się, że jest żonaty, żona mieszka w Baden-
Baden, że ona nic nie wie, pojęcia nie ma, bo on był z Baden-Baden
delegowany ze swoją kompanią na miesiąc do Berlina Zachodniego do
służby. W pewnym momencie go pochwycono do samochodu z chodnika ...
Chciał mi zrobić przyjemność i opowiadał mi jako Polakowi, że w Nancy
cieszy się miem do tej pory Stanisław Leszczyński, że jest na środ-
ku miasta jego pomnik i że ludzie dobrym słowem wspominają go do tej
pory. Później, a szczególnie jak w tych oddychajuszczych punktach
człowiek był, miało się czas na rozmowy. To były moje uniwersytety.
Bo z tylu ludźmi rozmaitego pokroju, rozmaitej nacji rozmawiałem,
a ludzie tak chętnie, tak szczerze opowiadali o swoich przeżyciach
rodzinnych i za co tam się dostali, że to wzbogacało, to było czy-
tanie książki wprost z życia. Ludzie czuli potrzebę wynurzeń w tym
przekonaniu, że i tak już nie wyjdą stamtąd. Opowiadano mi bardzo
obrazowo o głodzie na Ukrainie w 32 - 33 roku. Takich dwóch Ukraiń-
ców, bardzo wiarygodnych - pan Prodan spod Białej Cerkwi i Saman-
doszuk, spod Hajsynia - i opowiadali tak, że nie wzbudzało żadnych
wątpliwości, że to było sztuczne, organizowane. Opowiadali o całych
wsiach, które zarosły łopuchami, aż po słomiane strzechy. Niesamo-
wite wrażenie jak ścieżki, dróżki, podwórza pozarastały całkiem,

a ludzie wyginęli wszyscy. Były brygady eksterminatorów, które jechały i usuwały trupy. Wiadomo, że jakieś 5 - 6 milionów, Ukraińcy teraz obliczają, że nawet 7 milionów ludzi tam zginęło. Ja wydziwiałem tylko, nawet udając naiwnego, że jeżeli takie nieszczęście było, to dlaczego nie pośpieszono z pomocą. A oni mówili - durak ty, ty nie żył u nas, ty nie rozumiesz, to istniejący głód był organizowany, o to właśnie chodziło.

Zmieniałem często pracę, po pierwszych miesiącach znalazłem się w oddychajuszczym punkcie i stamtąd mnie wypisano, dostałem się na "Ajacziga" - to są szachty tzw. "miałkie szachty" 12, 13, 16 i tam mnie etapem przyprowadzono. Było to lato i poszedłem tam do robót budowlanych - na ziemnych robotach kopaniem transzeje pod jakieś obiekty, budynki. Nosiło się belki potężne. Uległem wyczerpaniu, znowu mnie położono do op, i znowu komisówka była, i znowu gdzieś mnie "kupili". Byłem przejściowo na 18-tej, później dostałem się na 40-tą. Na 40-tej wróciłem do zdrowia i znowu mnie do kopalni zakwalifikowano. Ona była dopiero w początkowym stadium budowy. Budowaliśmy szyb, na poziomie 480 - blisko 500 m. Tam była duża wilgoć, ze ścian kapala woda i tworzyła się wleczysta mżawka. Zmiany były po 6 godzin, nasza praca polegała na tym, że młotkami pneumatycznymi robiliśmy otwory w litej skale, co się dawało to wybieraliśmy. Opuszczano potężną beczkę, wybierało się kamień, zwałało go rękoma i łopatami i dawało się sygnały żeby wyciągnąć do góry. A nad nami był zawieszony tzw. kameron czyli pompa z węzłem wysysającym wodę - na takim pomoście żelaznym.

Wreszcie w czerwcu 1950 roku dostałem się na "kapitałową". Na "Kapitałowej" pracowałem jakiś czas na śniegoborbie /walka ze śniegiem zimową porą/. Takie nieraz były straszne zamiecie, że trzymaliśmy się za ręce nawzajem, baliśmy się sami, żeby się nie oddalać. Strażnicy mówili - pilnujcie się sami, nie oczekujcie od nas jakiegokolwiek pomocy.

Pracowałem też na "lesoskładzie". To była najcięższa praca, jaka na powierzchni może być. Bo to było rozładowywanie z wagonów takich potężnych les^{czył}, jak oni to nazywają, ¹⁸drewna i przerabianie go na cyrkularce dla potrzeb kopalni. Brygada przychodziła i miała np. dostarczyć do kopalni 180 półtorametrowych belek. To wszystko trzeba odkorować, znosić do cyrkularki. Dwaj obsługiwali. Starte ręce - podkładaliśmy szmaty, aby ulżyć sobie.

Później już widocznie tak "doszedłem" - w tym sensie, że opadłem z sił, że dano mnie na szatniarza. To nazywało się tam "bańszczyk", łaziebny. To znaczy, że pracowałem w łaźni, gdzie ci, którzy z kopalni wyjeżdżali, zrzucali z siebie robocze ubranie, zostawiali je pod naszym nadzorem i kapali się. Więc trzeba było pilnować, żeby komuś coś nie przepadło i utrzymać tam porządek. Jak jedni zjechali, a drudzy jeszcze nie nadeszli, można było porozmawiać, gazetę przeczytać. Kołchoźniki tam były i można było posłuchać wiadomości. Pamiętam Olimpiadę 1952 r. w Helsinkach, na którą po raz pierwszy ZSRR wysłał swoją reprezentację. I na tej funkcji ja zakończyłem swój pobyt w obozie.

Po zwolnieniu jako wolny nie szukałem innej pracy - bardziej intratnej, mnie to wystarczało, i na tej funkcji pracowałem jako wolny aż do wyjazdu.

Za naszych czasów na "Kapitałnej" były wymiany ludzi, etapy. Jak przyjeżdżały - to człowiek wychodził, żeby się dowiedzieć nowości. Oni przyjeżdżali bądź ze świata ... z peresylnych punktów, bądź z innych łagrów, to się można było dowiedzieć kto tam jest. Patrzyliśmy czy jest jakiś Polak, staraliśmy się nim jakoś zaopiekować. A poza tym wydarzeniem były wypadki w pracy. W zasięgu mego pola widzenia dwa groźne wypadki miały miejsce. Jedna zmiana 14-osobowa na 17 lub na 18-tej szachcie zginęła cała na skutek wybuchu metanu.

A na "Kapitalnej" latem któregoś roku około Wielkanocy potężny wybuch gazu - blisko 30 ludzi zginęło. Na szczęście z Polaków nikt, ale dwóch Niemców z NRD tam zginęło. Kłopotów z odszkodowaniem - administracja z tego tytułu nie miała.

Tych Polaków, którzy byli na "Kapitalnej", ponieważ byłem tam długo, znałem wszystkich. Reprezentowane były wszystkie grupy wiekowe, byli i nieletni. Wspomnę o Januszu Gutrym ze Lwowa. Kiedy go spotkałem nie miał chyba 18 lat. Oczywiście był strasznie załamany. Przecież - wyjechał wcześniej ode mnie, w 55 roku, mieszka on obecnie we Wrocławiu. Kiedy nastąpiła ta odwilż - po śmierci Stalina, to nieletnich wszystkich wydzielono i odesłano wcześniej. Były tam też kobiety. Polaków było około 100, przy czym 80% to Wileńszczyzna, a tylko 20% Lwów i Galicja. Ja nie spotkałem nikogo z takich dużych ośrodków jak Tarnopol i Stanisławów, natomiast z Podhajec spotkałem. Tak że mogłoby się wydawać pozornie, że po Lwowie to drugi ośrodek Podhajce, to świadczy o tym, że władze miejscowe tam były bezlitosne. Brzeżany, Buczac, Rohatyn - z tych miasteczek nie spotkałem w ogóle nikogo. Najstarszych będę mówił, na których myśmy patrzyli, którzy byli dla nas jakimś drogowskazem. Pan Antoni Kokociński - z Wilna, Jeszcze dr Dobrzański - lekarz, który nam pomagał. Lekarze mieli to szczęście, że pracowali w swoim zawodzie i mogli tym nieszczęsnym bliznim jakąś pomocą służyć. Był on doktorem ginekologiem, kolejnym lekarzem z Wilna, dużo starszy ode mnie, bardzo inteligentny. Był pan Wiktor Jagoda, zawodowy oficer artylerii, bardzo dzielny partyzant, żołnierz AK. Był pan Bolesław Nowik, ale on tam jako Borsuk występował. Był pan Mieczysław Orłowski, ale potem okazało się, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Bernard Grzywacz, on gdzieś spod Torunia, z Golubia pochodził, ale we Lwowie w konspiracji był i stamtąd był zabrany. Pocieszałyśmy go żartem: „nigdy do zguby nie dojdą Kaszuby” - bo on był z Kaszub.

Franciszek Sitnik - mój serdeczny kolega ze Zloczowa.^{x/} Olgierd Zarzycki^{x/}, młody, dziś mieszkający w Warszawie, tam na "Kapitalnej" był od nas z Podhajec Janusz Sygit, ja i Andrzej Zacharkow. Zartowaliśmy nieraz, że po Lwowie na drugim miejscu są Podhajce.

Jakie miejsca w obozie zajmowałem? Dobrze, jeżeli ktoś mógł się dostać na jakąś funkcję. Lekarze z urzędu byli na funkcjach, bo wiadomo potrzebni tam byli. Ale ktoś ze służby zdrowia w charakterze sanitariusza - to też już było dobrze; był taki Marian Majewski ze Lwowa, który obsługiwał solux. To marzenie być w białym kitlu, w ciepłym siedzieć.

Jak wygląda Workuta? Jest to płaszczyna, krajobraz księżycowy, tylko charakterystyczne dla tego krajobrazu były hałdy porody - kamieni, które świadczyły o tym, że tam jest kopalnia. Przy każdej kopalni był tzw. ołp - odcień łagiernego punkta. To był łagierny punkt dla tych więźniów, którzy obsługiwali te kopalnie. A oprócz tego w mieście była już ludność miejscowa, właściwie napływowa z tych wolniaszków, którzy zostali zwolnieni, z delegowanych karnie, którzy tam otrzymywali dodatek polarny, ale w jakiś sposób gdzieś tam podpadli i byli tam tak zsyłani. To nie była formalna zsyłka, ale musieli tam odpracować jakiś czas jako wolni. Oczywiście oni byli z rodzinami. Ile to miasto wtedy liczyło ludności, trudno mi powiedzieć.

Po 1953 roku mieliśmy już dostęp do prasy. Ukazywała się tam lokalna gazeta pt.: "Zapolarna Koczegarka" - Kuźnia Podbiegunowa. Tam wyczytaliśmy w specjalnym numerze na 10-lecie Workuty, że na zew partii komsomolcy zbudowali miasto i zagrzebie i udowodnili, że można "preodolet prirodu" czyli podporządkować sobie klimat i wybudować to, co zostało tam wybudowane /elektrownie, kopalnie, linie kolejowe/. Patrzyliśmy i mówiliśmy, wiemy już to komsomolcy budowali.
^{x/} Franciszek Sitnik zmarł w listopadzie 1994 r. w Piekarach Śl.
Olgierd Zarzycki zmarł w kwietniu 1989 r. w Warszawie

To my, katorżnicy i nasi poprzednicy budowaliśmy wszystko.

Zima tam trwa 9 miesięcy, w maju to jeszcze śniegi są, jakkolwiek długie dni, jasne, ale śniegi i zamiecie. Do połowy czerwca jeszcze łąty śniegu leżą. Natomiast druga połowa czerwca, lipiec jest bardzo ładny, pamiętam nawet żeśmy się opalali przy ziemnych robotach; słoneczko skośnie ale bardzo ładnie ogrzewało. Ale lato jest krótkotrwałe. Już w drugiej połowie sierpnia szrony są z rana. I tak trwa do połowy września. Można to traktować jako lato. Natomiast od drugiej połowy września zaczyna się zima, październik to już jest zimowy okres, a w październikowe święta "oktiabrskie" to już straszne mrozy i śniegi były. I w tym czasie trwa noc podbiegunowa. Byłem w tym czasie, kiedy Workuta była już zelektryfikowana, więc światła świeciły na okrągło, tylko między godziną 8-mą a 13-tą troszkę robiło się szaro. Natomiast latem - czerwiec, lipiec - nie można było spać, na okrągło słońce świeciło, organizm bunktował się przeciw temu. Kiedy była pogoda a pracowałem na nocnej zmianie tośmy widzieli o 12-tej w nocy, że słońce nie zniknęło zupełnie i zaczynało się podnosić na horyzoncie do góry. To robiło niesamowite wrażenie. Orientację mieliśmy według słońca, wszak zegarków nie mieliśmy. Co do 15 minut można było określić godzinę. Latem z tundry robi się wielkie grzęzawisko, ono nie wysycha. Pojawiają się chmury komarów, które przy tych ziemnych robotach potrafiły uprzykrzyć życie. Ci strażnicy, którzy koło nas byli mieli maski przeciw komarom, myśmy nie mieli, tylko zatulaliśmy się, ale nasze karki, czoła to były same bąble. Pojawiały się kwiaty na tundrze, trawa była taka blada, kwiatki też blade - żółte, błękitne. Była tam brzoza polarna - jedyna przedstawicielka drzewostanu, karłowata trzymająca się wgłębień, na południowych skłonach pagóreczków. Jakies jagody tam pojawiały się, ale myśmy ich nie jeśli, bo dostępu nie mieliśmy. Przechodziliśmy przez tundrę wysypaną drogą jako ko-

lumna robocza, która nie mogła się oddalać i przychodziliśmy do obiektu, gdzieś pracowali, ale to było już ogrodzone.

O ucieczce ani zimą ani latem nie mogło być mowy. A pamiętam z tej kopalni "2-Bis", dwóch śmiazków porwało się na taką rzecz. To był Polak Odyński, młody chłopak jakieś 20 lat, z Brześcia. Niedaleko uszli, bo ich ściągnięto. Tamtejsza ludność, ci Komiacy - to oni wydawali uciekinierów. A przejazd pociągami jest kontrolowany. Zostali złapani, zastrzeleni i przez kilka dni leżeli na śniegu przy bramach wyjściowych, wiadomo dla jakiego celu. Tego Odyńskiego bracia i siostry mieszkają w Warszawie, z siostrą mam kontakt. Bezpośrednio z tymi Komiakami myśmy nie mieli żadnej styczności, wiadomo, oni wypasają i hodują renifery i z tego żyją. Jak wyszedłem na wolność - to raz do takiej jurty wszedłem, wszystko ze skóry, daszek, siedzenia, barłogi.

Jeżeli chodzi o Workutę, w tym pierwszym okresie tj. od 1946 r. do 1950 roku byłem na takich kopalniach: wczoraja bis, Mietkije szach-ty, "Ajaczega, 12, 14, 16. - Mietkije szachty - tam byłem całe lato 1946 roku, później byłem na 18-tej i byłem na 40-tej "sorokowaja" jak oni nazywali. Z tych określeń wynika, że około 40 kopalń musiało być, niektóre były na planie, inne w rozbudowie, niektóre w pełnej eksploatacji.

Kopalnie były porozrzucane ^{wokół} wieńcem dookoła Workuty - to było całe zagłębie węglowe. Wśród nas przeważali Ukraińcy, których tam było setkami i to byli przede wszystkim galicyjscy Ukraińcy. Ich trzeba było rozróżnić - byli wołyńscy, bukowinscy, galicyjscy, z Ukrainy prawobrzeżnej aż po Donbas. Ich było najwięcej, a wynikało to z tego, że cała Ukraina była pod okupacją i wszyscy Ukraińcy w jakiś sposób opowiadali się po stronie niemieckiej, każdemu można było zarzucić jakąś kolaborację. A i bardzo dużo było prawdziwych banderowców, oni przeważali. Dużo też było Białorusinów, to takie same

względy przemawiały. Bardzo dużo było "probaltów" - Estończyków, Łotyszów, Litwinów, ponieważ ~~do~~ były małe narody, a ich tam setki było, więc powstawało wrażenie, że tam chyba tylko nazwa geograficzna została. Biorąc pod uwagę, że rodziny ich były poddane zyskce administracyjnej gdzieś pod Ural, to nie wiadomo było, kto tam wogóle ^{został} jest.

O różnych okresach opowiem. Nieludzki, katorżniczy, koszmarny to był rok 1946, 47, 48. Śmiertelność wtedy była olbrzymia - zwłaszcza wśród tych "Prjbalców", z przepracowania, z głodu, od chłodu. Szalała tzw. cynga - szkorbut. To polegało na tym, że robiły się ropiejące rany, puchły wtedy nogi. W mojej obecności na szkorbut w 1948 r. w czerwcu zmarł człowiek, miły, sympatyczny, z którym dużo rozmawiałem, który miał dużo do powiedzenia i od którego wiele mogłem się dowiedzieć. To był Irlandczyk, który czuł się Polakiem. On się nazywał Zygmunt O'Herney. Jego ojciec był z Dublina. Kiedy były prześladowania Irlandczyków - na początku wieku, studiował w Wiedniu w Wyższej Szkole Rolniczej. Wtedy jeszcze Galicja była pod panowaniem Austrii. Na wakacje zapraszali go Polacy do Galicji. W ten sposób przyjeżdżał on na wakacje pod Lwów i bywał u Polaków. W każdym razie świetnie znał sytuację rodzinną Szeptyckich, bo to było w Dziewiętnikach pod Wybramówką, powiat Bóbrka, koło Lwowa. Jego ojciec opowiadał mu o braciach Szeptyckich. Oni byli wychowani w polskiej kulturze. To była ziemiańska rodzina, bracia chodzili do gimnazjum Św. Anny w Krakowie, później byli przeznaczeni do wojska, Stanisław rzeczywiście zrobił zawrotną karierę, był generałem o bardzo wysokich kwalifikacjach, między innymi był obserwatorem z ramienia sztabu austriackiego na wojnie rosyjsko-japońskiej. Andrzej spadł z konia i później utykał, wobec tego nie było wyjścia i skierowano go do stanu duchownego; szybko tu karierę zrobił, był metropolitą w kościele greckokatolickim. To właśnie pan Zygmunt O'

O'Cerney mi o tym opowiadał. On sam studiował u prof. Taylora w Poznaniu, a później był na Wileńszczyźnie w partyzantce AK. On właśnie zmarł na szkorbut, byłem prawie przy tym. Wtedy właśnie śmiertelność była bardzo wysoka, później się to unormowało. Rodzinę pana Zygmuntę odwiedzałem w Sopocie.

W jakiś sposób odpowiedzialne władze zorientowały się, że jest za wielki odsiew, że nie ma już uzupełnień. Jak wojna trwała, to czerpało się spośród tych, co pozostali na terenach okupowanych przez Niemców. Wobec tego zorganizowano pomoc i to skuteczną. Zadbano o stronę sanitarną. Ubrano nas odpowiednio. Przeznaczono jedną odzież na roboczą, a na zmianę w tym "ołpie" czystą. Zorganizowano opiekę lekarską. Do jadłospisu rzucono kapustę, która ogromne znaczenie odegrała, była przeciw cyndze. Lekarze przepisywali ją co drugiemu. Jak się poprosiło, to przyznawali nawet tym, którzy jeszcze nie mieli objawów choroby. I ta kapusta w jakimś sensie nas uzdrowiła. Gdzieś w 1948-49 roku nastąpiła wielka reorganizacja i wielkie przetasowanie ludzi... Potworzono reżim, kładę o obostrzonym reżimie i całkowitej izolacji od świata. Później wytłumaczyłem sobie, że to dlatego, że powstało NATO, zimna wojna itd. Wtedy myśmy się na bieżąco nie orientowali. Polacy dostali się do tego obostrzonego rygoru. Jeżeli chodzi o Polaków, było nas tam stosunkowo mało. Myśmy - jeden drugiego na wdech intuicyjnie wyczuwali. To była wielka przyjemność z Polakiem sobie po polsku porozmawiać, istna duchowa uczta. A NKWD? tam była Wochra - wojska ochronne, a wewnątrz "ołpu" była specczast, komórka, gdzie był naczelnik "ołpu", który był tu panem życia i śmierci. Na "Kapitałnej" był Woronin przez długi czas, tak że nazywaliśmy ten "ołp" - Woroningrad. Tam była służba zdrowia, lekarze. Ta specczast miała swoich konfidentów. Wśród Polaków tym nikt się nie zajmował. To był ideowy element.

Poza tym, to byli chłopcy często nawet słabo mówiący po polsku, z białoruskich wiosek, którzy lgnęli do polskiej partyzantki, do AK z chęci przygody itd. i to byli bardzo dobrzy, poczciwi chłopcy.

Wyżywienie - dwa razy dziennie otrzymywaliśmy posiłki: śniadanie i obiad, przy obiedzie była za kolacją jakś zapiekanka. Na "Kapitalnej" codziennie była kapusta, albo zupa jako kapuśniak, oni to borszcz nazywali. Ziemniaków nie widziałem i nie znałem smaku ziemniaków, mleka, jajek - przez cały czas pobytu w Workucie. Składniki pożywienia gotowana kasza, kasza "rżanaja" to znaczy żytnia, jęczmienna i owsianka. Szczególnie owsianka była popularna. Zupy były na kapuście, obszoce - jarzynowa - zborna. Do drugiego dania była kasza, czerpakiem rzucana i do tego porcja mięsa jeleńskiego, albo rena, oni to nazywali oleń. Ryba. Albo zapiekanka z kaszy do formy wylewana i krojona. Oczywiście były różne kotły czyli przydziały jedzenia. W "Kapitalnej" jak byłem - to był I, II, III kocioł. Najlepiej było przy II kotle. Pierwszy był za słaby. Jeżeli dwa dni człowiek zarobił I kocioł, to już stracił siły.

Jak to było rozdzielane? Brygady, które wychodziły do pracy liczyły w kopalniach 15 osób, a na budowach 20 - 25 osób. Brygadzi tą z reguły był Rosjanin. W brygadzie nie zdarzało się, żeby we dwóch byli Polacy. Brygada wyrabiała pewne zadanie według planu. Za wykonanie tego zadania obliczano kotły. Na brygadę wypadało np. 5 z trzeciego kotła, 15 albo 20 z drugiego. Gorzej jak jeszcze wypadało 3, 4 z pierwszego, bo to już długo taki się nie utrzymał. Jeżeli był mądry brygadzysta, to on raczej tak rozdzielał, ażeby było wszystkie drugie. Oczywiście te 4 - 5 z trzeciego to było jasne - że dla niego, jego zastępcy, adiutantów itd. Natomiast, jeżeli ktoś odmawiał pracy, albo wogóle podpadł, postawił się czy pobił z kimś, to wtedy nie wykazywał kotła i otrzymywał sztafne - karne.

Karne polegało na tym, że tylko 300 g chleba jednorazowo i dwa razy zupa i to po jednym dniu widać od razu załamanie organizmu. Jako szatniarz miałem II kocioł. Tam jeszcze były dodatkowe dodatki. Można też było zarobić na boku, bo i takie tam były możliwości. Jak ktoś wolne miał, a zwłaszcza z tych otdychających, to szli do kuchni, zrobili kucharzowi dookoła porządek, odgarnęli śnieg, a kucharz dał i za to pół wiadra zupy. Ale to całowiek się naje, później wzdęcia, niedobrze się robi - wybija się z jakiejś normy. Uważałem, że mniej wysiłku mam, to mniej potrzebuję zjeść. Doświadczenie moje później udowodniło, że miałem rację.

Jakie stosunki panowały między nami, Polakami? Jak najlepsze. Myśmy byli braćmi, jak spotkaliśmy się, ale to wynikało z tego, że byliśmy tam rozproszeni, już nas mało było. A później w 1954 r. tośmy nawet utworzyli konspiracyjną kasę zapomogową i tym, którzy już nie mogli zapracować, udzielaliśmy pomocy. To była jakaś forma konspiracyjnej pomocy i działalności. Czy wśród innych grup coś takiego było to nie powiem, ale Łotysze i Estoncy byli też solidarni i reprezentowali kulturę, poziom moralny lepszy, nie było złodziejasków wśród nich. Próby kradzieży zdarzały się, zwłaszcza chleba, za to lincz groził. Nie spotkałem, żeby Polak miał taką sprawę. Wynikało to z tego, że nas stosunkowo mało było i że to był element ideowy.

Duchowego życia nie było. Rozmowa z rodakami i to wszystko. Człowiek był bezmyślny jak stworzenie, które użło i wracało, jak w kieracie chodziło. Święta jak 1-go Maja czy listopadowe nas nie obchodziły, nie mieliśmy wolnego. Tylko, gdy były mrozy ponad 40 stopni, to wtedy te brygady, które na "stroitelstwie" - czyli na budowach pracowały, na otwartej przestrzeni, miały tzw. "aktirowanyj" dzień". Byłem parę razy w takiej sytuacji. Natomiast "lesoskład" na którym też pracowałem nie miał tego, mimo że praca na powierzchni.

A to dlatego, że kopalnia potrzebuje non stop drewna. I oczywiście "śniegieborba".

W pierwszym okresie często odmrażałem nogi, palce, chodziłem do "sanczasti", tam czasem zwolnili. Cieszył się człowiek tym zwolnieniem 2-3-dniowym. Później nawet starał się tak, żeby przemoczyć, odmrozić. Zawsze widziałem takich symulantów, którzy potrafili poranić się, łydki naftą smarowali, obrzęki z tego były, lekarze dawali zwolnienie. Zmiany pracy: od 10-tej w nocy do 6-tej, od 6-tej do 2-giej i od drugiej do 10-tej. Byli naganiacze tacy, którzy biegali, wyganiali z baraków. Oni nazywali się "nariadczyki", z pałkami gonili, ażeby zdążyć do wyjścia. Pamiętam te wyjścia z okresu jak pracowałem na "mielkich szachtach" i w budownictwie. Nieraz szła kolumna 600 do 700 osób. Godzinę trwała odprawa zanim wachty przez bramę przepuszczą. Każdy musiał przejść - podać imię i nazwisko, rok urodzenia i dzień, paragraf, z którego więzień został osądzony. A harmoszką grała dla dodania otuchy. Czasu marnowało się dużo.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to wszyscy jednakowi byliśmy. Tam był komunizm idealny, jednakowo karmieni, jednakowo strzyżeni, jednakowo kapani, jednakowo leczeni, jednakowo ubrani. Trzeba powiedzieć, że później już odpowiednio ubrani, bo w walonkach, watowanym, łata na łacie, ale ciepłe to wszystko było.

+ + +

Po śmierci Stalina i Berii zaczął się okres wyraźnej odwilży. 1951-52 rok to apogeum kultu jednostki i w tym czasie, w takiej czy innej formie objętych przymusową pracą było około 40 mln ludzi /wg naszego ówczesnego rozoznania/. Skazanicy dzielili się na "zeków" tych do 10 lat "zakluczonych" i katorżników ponad 15 lat.

Po 1953 roku zaczęliśmy odczuwać ulgi; zniżył reżim i stopniowo od końca 1953 roku poprzez 1954 pozwolono oficjalnie na korespondencję, nie tylko w obrębie ZSRR, ale nawet dano formularze i pozwolono pisać za granicę, czyli Niemcy i my Polacy korzystaliśmy z tego zezwolenia. Wtedy ja już oficjalnie w 1954 r. wysłałem na formularzu wiadomości do Polski. Z baraków, które były ogrodzone - pozdejmowano kraty i nie zamykano już na noc na kłódkę. Pozwolono włosy zapuścić. I zaczęto wypłacać jakieś pieniądze. Oczywiście ci, którzy w kopalni pracowali zarabiali dziesięciokrotnie lepiej aniżeli tacy jak ja szatniarze. Ale już jakiś pieniądz był. Pieniądz dodał poczucia godności ludzkiej. Ja to odczułem na własnej skórze. Wybudowano dla nas drugą stołówkę, tzw. "komercjuszka" czyli komercyjna. Więc jadło się to, co nazywało się "narkomawskim pajok", to co się należało, a tacy np. górnicy szli tam i jedli dodatkowy obiad. To była głupota, bezmyślność - rozpychać żołądek. Myśmy chodzili też, aby napić się herbaty i pogawędzić. Pieniądze składało się na jakiś cel. Wybudowano nawet taki dom, taki barak, który częściowo wychodził poza strefę zamkniętą i pozwalano "na wrazenia". Przyjeżdżały żony, matki, siostry. Cdzieś tam z Ukrainy, aż tam do Warkuty i tam im pozwalano się spotkać. To oczywiście było pod strażą. Tam mężowie, żony mieli nawet i na noc spotkania. Z Polaków nikt nie przyjeżdżał, bo to zagranicą się nazywało, ale przyjechała pani Majewska ze Lwowa do swego syna Mariana i pamiętam, że wysłaliśmy ze swego grona taką 3-osobową delegację, zrobiliśmy jakiś prezent, ci panowie tam poszli, by z nią porozmawiać, żeby dowiedzieć się coś o świecie. Na to władze zezwoliły, żeby z obcą kobietą spotkać się. A oczywiście dowcipy były takie, gdy z żonami niektórzy i 2 - 3 noce spędzali i jak wracali, mówiliśmy - może on by go wyręczył itd. Wtedy już przychodziły nam takie głupoty do głowy, bo w latach

czterdziestych - nie było mowy o takich sprawach. Dopiero jak pieniądze przyszły, to człowiek już poczuł godność ludzką. W tym czasie jakaś świetlica była i biblioteka. Można było poczytać tylko w języku rosyjskim. Ja wtedy czytałem Puszkina, Lermontowa i Tolstoja. Głód czytania odczuwałem, ponieważ w tej szatni miałem taką możliwość. Nieporównywalne były te lata 1954 - 55 do lat 1946 - 47.

Kontakty ze światem? Osobiście, jeżeli chodzi o mnie i Polaków, to do 1953 r. nie było żadnych. Osobiście pierwszy kontakt z rodziną miałem dopiero w 9-tym roku trwania rozłąki. Z Podhajec żona i w ogóle Polacy wyjechali, a myśmy pojechali w przeciwną stronę. Myśmy pojęcia nie mieli, gdzie pojechali, w ogóle nie mieliśmy pojęcia o Ziemiach Odzyskanych itd. A gdzie nas powieziono, oni też nie mogli mieć pojęcia. ZSRR - wiadomo "szeroka strona moja radnaja" od Murmańska aż pod Magadan, Kołymę, Kamczatkę.

Na "Kapitałnej" po 1953 roku dotarło do nas, że ONZ bardzo ładnie funkcjonuje, że zapobiega konfliktom, że ruch pacyfistyczny utrwała, ugruntowuje pokój, a myśmy wiedzieli, że pokój ugruntowuje się na naszą zgubę. Następnie wiedzieliśmy o tym, że prawosławny patriarcha z Wandą Wasilewską pojechali do Sztokholmu i podpisywali apel pokojowy. Więc jaką można było mieć nadzieję?. A jeszcze porównywaliśmy, że w przeciwieństwie do tych nieszczęsnych, którzy w Dachau i Oświęcimiu byli, których niszczone jak w fabryce śmierci, ale którzy mogli się ludzić, że zbliża się koniec wojny - może przynieść im wyzwolenie - dla nas oddalało się wszystko. Ugruntowuje się pokój a dla nas pokój oznaczał zagładę. Redacy mił, ci Wilnianie z Wileńszczyzny już w okresie 1952 - 53 potrafili nawiązać kontakt z Wilnem, bo Wilno było w składzie ZSRR. Więc otrzymywali stamtąd dużą pomoc moralną, bo i książki, lektury i listy. Paczek nie pamiętam. Jeden kolega - Wiktor Jagoda - /zmarł już/ miał długotrwałą już wtedy korespondencję z młodą panią, która zapatrzyła się na niego

w Wilnie - jako na bohatera narodowego; pisała do niego z wielkim uwielbieniem. On odpisywał, troszkę był zafascynowany tą sytuacją, bo różnica wieku była duża, a później w ślad za nią pisały inne panie, które matkowały nam w pewnym sensie. I ten Witek Jagoda pracował w tzw. lampiarni "lampowaja" - nabijali, przygotowywali lampy dla górników. Oni mieli kontakty w tej lampiarni z "wolniaszkami", którzy też zjeżdżali i którzy od nich te lampy też brali i oddawali. Poprzez kogoś z wolności on się z tą panią w Wilnie kontaktował także nieoficjalnie. Wychodząc z kopalni na zewnątrz przechodziło się jak przez komorę celną, w każdej chwili strażnik mógł zrobić rewizję. Więc ten "wolniaszka" ryzykował, w czapie jakiegś wynosił list, tam nadawał - a nadane na pocztę w Warkucie szło do Wilna. To jeszcze było w 1952-53 roku. Porozmawiałem z Witkiem Jagodą i on sam zaproponował mi przekazanie listu. Mówił mi, że ma już z Wilnem normalny kontakt, taki nielegalny, ale skuteczny i czy ja bym nie wymyślił jakiegś sposobu żeby o sobie wiadomość przekazać do Wilna, a ta pani do Polski. I tu tego musiałem myśleć. Założenie musi być takie - krótka, lakoniczna wiadomość. Pomyślałem tak, że przecież te Myślenice to małe miasteczko, wypisz wymaluj tak jak Podhajce i że tam rodzice w 1944 roku pojechali z bratem i siostrą. Jeżeli nawet rodzice nie żyją, to w takim miasteczku nazwisko to nie może być nieznane /faktycznie ojciec już wtedy nie żył/. Poza tym pomyślałem sobie, jeżeli list przyjdzie z taką wiadomością na pocztę, to ten listonosz zastanowi się, że to trzeba spod ziemi kogoś wyszukać. Adresu nie mogłem znać - w lipcu 1944 r. front nas rozdzielił i ja już nie miałem kontaktu. Liczyłem tylko na to, że listonosz to nazwisko skojarzy, i to chwyciło. Poszła więc wiadomość taka - Józef Wociechowski z Podhajec lat tyle i tyle, żyje i pozdrawia rodzinę. Po jakichś 3 - 4 miesiącach przychodzi odpowiedź. W Myślenicach rodzina miała kontakt z Bolkowem na Dolnym Śląsku, gdzie była moja

żona z córeczką Teresą - przekazano to tam. Stanisława, żona, napisała do mnie na adres tej pani /ona już nie żyje/ w Wilnie. Po jakichś 3 - 4 miesiącach dotarła do mnie odkrytka. Ta pani tłumaczyła pocztówkę na rosyjski tak, że to nie wzbudziło podejrzeń. Poza tym, tam był stempel - oczywiście Wilno data taka, a taka, ale ona na tej odkrytce dla mnie przeznaczonej napisała Legnica - po rosyjsku, dnia takiego i takiego, stawiając tę datę, kiedy to było napisane. Legnica - mnie z historii miasto znane... Tam było napisane - "Dorogoj Józiku, my żywi i zdrowi, czego i ciebie żelaju, ciełuju ciebia krepko Stasia i Terenia". Jak ja dostałem tę pocztówkę, coś we mnie wstąpiło, w sensie poczucia godności, że jest żona, jest dziecko, że ktoś o mnie w ogóle wie, że ja nie jestem bezdomnym psem, jakimś zagubionym człowiekiem.

Po paru miesiącach dostałem list tą samą drogą. W Wilnie przedrukowany, napisany po rosyjsku, ale z wstawkami - z takimi polonizmami. Dowiedziałem się o sytuacji rodziny, o tym, że w Myślenicach żyją brat, siostra i mama, że ojciec zmarł w 1947 roku, że żona przyjechała do Bolkowa, że w Bolkowie są taty i tacy ludzie z Podhajec, że Terenia ma tyle i tyle lat /miała 9 lat/ i że dobrze się uczy, chodzi do takiej i takiej klasy. To było po rosyjsku napisane, ale tak tłumaczone, żeby polonizmy wychodziły, żeby oddana była myśl. I przyklejone do listu było zdjęcie Teresy. Jak dostałem ten list - otworzyłem, poczułem łzy w oczach. Po Polakach poszła wieść, to była publiczna sprawa, to nie była tylko moja sprawa. Ja miałem to szczęście, bo to była pierwsza wiadomość z Polski, z Ojczyzny. Wszystkich to interesowało, poza tym - oni patrzyli na mnie, mówili - co z tobą się dzieje, ty się zmieniłeś? Ja się rzeczywiście zmieniłem - odżyłem, odnalazłem swoją godność. To się działo w okresie lato - jesień 1953, po śmierci Stalina.

W 1954 roku pozwolono nam już na oficjalne pisanie listów na specjalnych formularzach. Oczywiście w języku rosyjskim. Po jakimś czasie te formularze nam odwołano, bo powiadano, że my jesteśmy radzieccy obywatele i nam to nie przysługuje. Niemcy pisali a nam odebrano. Ale wkrótce potem, w 1955 roku w czerwcu wyszedłem na wolność zostałem zwolniony z obozu. Skoro wyszedłem, to z Workuty bezpośrednio pisałem, mając adres rodziny. Legnica, ul. Łękowa, w tym budynku żona Stasia pracowała w OZK - oddziale zaopatrzenia kolejarzy. I wtedy już korespondencja szła z miasta Workuty normalnie. Ja dostawałem na poste-restante, przychodziłem na pocztę, podawałem nazwisko i pani mi wręczała korespondencję. Dwa tygodnie szły listy, czyli w 1955 r. myśmy już mieli bezpośrednią korespondencję. Wtedy żona przygotowała "wyzew" tj. zaproszenie; złożyła to w odpowiednim biurze i ja się zgłaszałem do biura paszportowego. To biuro było przy NKWD. Tam człowiek się dowiadywał, jakie są jego losy. Trwało to rok, zanim te sprawy zostały załatwione.

Kiedy wychodziliśmy nie złorzeczyliśmy, nie przeklinaliśmy swego losu, nie było takich dyskusji. Po prostu takie nasze przeznaczenie. Wbrew nadziei wierzyło się w odmianę losu "Contra spem spero". Inaczej mówiąc ojczyzna miała w nas wiernych synów i byliśmy tymi ostatnimi, którzy tam na Kresach trwali do ostatka. Myśmy w pewnym sensie byli świadkami polskości i to była cena,, którąśmy zapłacili. W 1955 roku nastąpił zjazd wielkiej trójki; nie było wprawdzie tamtych, tamtej trójki, którą tylko ja przeklinać mogę w całości... Chruszczow, Eisenhower i bodaj Eden. Wzbudziło to nasze nadzieje, bo wtedy już i gazety były dostępne, jeżeli zjeżdżają się tacy, to pewnie będzie konferencja pokojowa a przy każdej konferencji się mówi o wymianie ludzi, jeńców itd. Tymczasem przyniosła nam kolejne rozczarowanie, bo specjalnie tam nami się nie zajmowano. Myśmy wie-

dzieli już o ONZ-cie, wiedzieliśmy o tym, że madame Eleonora Roosevelt zwiedzała Łagry, o Deklaracji Praw Człowieka, że to uchwalono, że radziecki delegat pierwszy tam dla przykładu go podpisał. Następstwa były tylko takie, że nastąpiła dalsza odwilż. We wrześniu przyjechał Adenauer do Moskwy. Ja "Prawdę" i "Izwestia" czytałem. W pewnym sensie ja tam byłem informatorem i wpływałem na nastroje, wśród Polaków. Przyjechał Adenauer do Moskwy - niebywała rzecz. Czytałem jego przemówienia, że on przyjechał tu m.in. jako ojciec swego narodu, on musi podnieść także tę sprawę bolesną ludzi, którzy od czasu wojny pozostali na terenie ZSRR i on w imieniu ich rodzin - żon, matek, dzieci - przyjechał m.in. i tę sprawę na porządku dziennym postawić i prosić o nich. Tych współkoledzy, którzy z nimi w wojsku byli i którzy mieli szczęście dostać się do niewoli angielsko-amerykańskiej, już dawno powrócili, włączyli się do normalnego życia, połączyli się z rodzinami i pracują, prowadzą normalne życie. W imieniu tych rodzin - mówił Adenauer - /proszę ja - i z tą prośbą tu przyjechałem. Chruszczow odpowiedział druzgocąco, że ich tu nikt nie prosił, że kwia zalali naszą ziemię i słusznie odpokutowują swoje. Myśmy komentowali, że Chruszczow odpowiedział słusznie. Ale jakkolwiek Chruszczow tak odpowiedział, po miesiącu Niemców zaczęto wydzielać i zwalniać.

W październiku 1955 roku była ogólna amnestia; pamiętam tylko została "54 statia" - paragraf, z której byli polityczni. Ale zwolnieni zostali ci, którzy byli pojmami jako nieletni. Dużo Rosjan wtedy zostało zwolnionych. A jaki przeklęty los nas spotkał. Nie było nikogo, żeby przyjechał jak ojciec narodu i w imieniu naszych rodzin tak pięknie przemówił jak tu Adenauer. Kłęliśmy- żeby któryś z tych prominentów np. Gomułka, Cyrankiewicz - przecież na tych zdjęciach ich widzieliśmy, przyjeżdżali tam, ha, obłapiali się, z taką sprawą nie występowali. Serce krwawiło. Więc ta amnestia ob-

jęła Niemców, a o nas cicho.

To był schyłek 1955 roku - wrzesień - październik. W 1954 - 55 roku porozumieliśmy się między sobą, że trzeba samemu coś robić, interweniować, ponieważ jest sprzyjająca koniunktura w Moskwie i w świecie. Rozumowaliśmy tak: przecież są nasze rodziny, żony. Z całą pewnością one tam bombardują, zawiadamiają. Nasz rząd polski nie chciał wiedzieć nic o tych sprawach. To było zbrodnicze i podłe podejście. Myśmy mówili, proszę bardzo, jeżeli dopuściliśmy się przestępstwa: możemy odpowiadać ale w naszych więzieniach, w naszych obozach. Takie było nasze rozumowanie. Poszło dziesiątki skarg. Poprzednio pisałem w 1953 roku, po śmierci Stalina. Wtedy przyszła odpowiedź po paru miesiącach, że generalny prokurator "reszył ostatek bez rozpatrzenia" - bez rozpatrzenia. Natomiast w 1955 roku została rozpatrzona, skarga ta była napisana przeze mnie do Rady Najwyższej w Moskwie i to napisana specyficznym językiem rosyjskim, jakiego myśmy używali w łagrze. Moim zdaniem to było dobrze uzasadnione. To było, jak z daty wynika, 25 czy 28 lutego 1955 roku. Kopię tej skargi posiadam do dnia dzisiejszego.

W ostatnich dniach czerwca, czyli po 4-ach miesiącach, zostałem zawołany do "specczasti" i tam mi powiedziano, że kolegium prokuratorskie rozpatrywało m.in. moją sprawę i "renziło", czyli postanowiło zmniejszyć "arok nakazania", czyli wyrok kary do 10 lat, wobec tego, że 10 lat już ubiegło - nakazano mnie zwolnić spod straży. I okazało się, że w tym dniu po wszystkich obozach dookoła Workuty wyszli ci z Podhajec, którzy przeżyli. To był czas - koniec czerwca 1955 roku.

Spotkaliśmy się po 10 latach. Nie wszyscy razem, bo niektórzy byli gdzie indziej, ale z niektórymi się spotkałem. Niekterzy nie przeżyli, zmarli - o tym było wiadomo, m.in. Ludwik Dobrowolski zmarł

Nie mówię o tych, którzy w ogóle nie byli na Worskucie jak Sokołowski, mój teść, jak Sorokowski itd.

Wtedy, kiedy byłem już wolny, mieliśmy wiele spotkań, dyskusji. Przyjeżdżały do nas panie z Wilna i zaczęły się romanse. Niektóre były zawiedzione, bo może one liczyły na małżeństwa. Przyjechała też ta pani, która pośredniczyła w mojej korespondencji z rodziną. Ona zawarła związek małżeński z panem Adolfem Leśniakiem ze Lwowa, również z Worskuty, który nie miał żadnej rodziny. Jej udało się potem wyjechać do Polski. Przystała mu zaproszenie i on dzięki temu dotarł do Polski. Zawiadomiłem swoją żonę o zwolnieniu. Najgorsza była sprawa z tymi, którzy w ogóle nie mieli żadnych punktów zaczepienia - nie mieli adresów swoich rodzin. Moja sprawa potoczyła się tak, że żona wysłała zaproszenie poprzez ministerstwo spraw zagranicznych. A ja złożyłem odpowiedni wniosek w wydziale repatriacji. Było to przypuszczalnie jesienią 1955 r.

Ci, którzy nie mieli takiej szansy na powrót, albo którzy za to samo co ja byli w Worskucie, a jeszcze nie wyszli, zazdrościli mi. Ja spotykałem się z nimi na terenie kopalni. Pochęcałem ich. Oni oczywiście prosili, gdybym wcześniej wyjechał, o kontakt z ich rodzinami. Miałem kilkadziesiąt adresów, które udało mi się przewieźć przez komorę celną w Brześciu i które w pewnym umówionym punkcie w Warszawie oddałem. Fakt, że mogli przyjechać w 1956 r., to bardzo dużo. W zasadzie przyjeżdżali wszyscy, niektórzy nawet jeszcze w 1953 roku, np Wiktor Jagoda przyjechał aż w 58 r. On tam na Wileńszczyźnie odgrywał wybitną rolę, miał starcia z radziecką partyzantką, w ogóle miał wyrok śmierci...

Jak przebiegały starania o wyjazd do Polski? Długo to trwało. Co miesiąc, a później jak człowiek się denudował, to co dwa tygodnie, szedł do "owiru" czyli do wydziału repatriacji i niesmiało,

żeby nie podpaść, pytał się jak wygląda jego sprawa. Oni tam czy udawali, czy rzeczywiście patrzyli i odpowiadali, to charakterystyczne, powtarzam to dosłownie - "niet z Moskwy otwietu".

Albo - "Moskwa nie reszila po waszemu woprosu". To świadczyło o pełnej centralizacji. Aż wreszcie przyszedł ów dzień, kiedy urzędnik powiada - jest. Wtedy wstaje, podaje rękę i mówi: "żelaju was wsiewo choroszego". Ja wtedy się upomniałem także i o to, żeby bilet mi dali, a on powiada - nie. Wtedy mówię, że jak tu jechałem, to nik mnie biletu nie kazał wykupić, tylkoście przywieźli mnie, to teraz powiniecie przynajmniej do granicy dać bilet. Na bilet trzeba było jednak składać własne pieniądze. Ten bilet mam do dzisiaj.

Ankieta "obiegówkę" się otrzymywało, trzeba było biegać po całej Workucie, po rozmaitych bibliotekach, teatrach, łaźniach, wszędzie poświadczać, że z niczym się nie zalega. Później to samo w zakładzie pracy. Przed wykupieniem biletu umawialiśmy się, żeby jechać w dwójkę - trójkę. Pojedynczo nie było nawet za bardzo bezpiecznie i przyjemnie. Więc jechałem z panem Władysławem Roszkowskim z Wilna, przedwojennym zawodowym porucznikiem artylerii. Jechaliśmy razem, bo więcej już nie chcieliśmy tracić czasu na oczekiwanie. Odprowadzali nas koledzy, mam nawet takie zdjęcie. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że oni nam zazdrościli. To był maj 1956 roku!

Pociąg ruszył, serce rosło. Zanuciliśmy z Władkiem Roszkowskim "praszczej lubimyj gorod". Mijaliśmy tundrę i strefę leśną, w którą wjechaliśmy - inne widoki cieszące oko. Mieliśmy koce i leżące miejsca, bo tam pociągi muszą być dostosowane do tych odległości. Przyjechaliśmy po 2 lub 3 dobach do Moskwy, na jarosławski dworzec. Tam zostawiliśmy swoje skromne bagaże i poszliśmy po Moskwie pochodzić. Byliśmy na ul. Gorkiego, na pl. Czerwonym, gdzie odbywają się parady, Kreml z respektem oglądaliśmy i tę cerkiewkę Wasyla Błażennego - to jest cacko. Byliśmy w uniwersytecie, który jest przy

pl. Czerwonym. Zrobiliśmy jeszcze jakieś zakupy. Nie nocowaliśmy w Moskwie tylko pod wieczór, czy w ciągu nocy z dworca Białoruskiego wyjechaliśmy w kierunku Smoleńska i Orszy. Brzyjechaliśmy do Brześcia. Bezpośredni pociąg Moskwa-Brześć. To był maj 1956 roku. Stamtąd wysłałem telegram, że w dniu takim a takim wyjeżdżam. Już była taka możliwość. Terminu przyjazdu nie mogłem przewidzieć. Jesteśmy w Brześciu, oczekuje nas przejście graniczne, wyszliśmy pochodzić po Brześciu ... dwie sąsiadki przez parkan rozmawiały, po polsku, tośmy chcieli niemal ucałować je. Miło nam było słyszeć, że one rozmawiają po polsku. Odprawiono nas. Jeżeli chodzi o mnie, to celnik, kiedy wszedłem, kazał mi otworzyć walizkę. Ja miałem taki "czemadan" drewniany. Otworzyłem: popatrzył ... A gdzie byłem? powiadam, że w Worskucie, a ile lat? tyle i tyle. Nie nada, nie nada. Spojrzał na mnie i kazał zamknąć. Przejachaliśmy przez Bug, jesteśmy już na polskiej stronie, w Terespolu. Było to w ciągu dnia i był to maj. Musieliśmy czekać na pociąg do Białej Podlaskiej, tośmy chodzili na zmianę po tym Terespolu, bo jeden musiał być przy rzeczach, jak ja wyszedłem to chciałem tę ziemię ucałować, nie mogłem jednak robić widowiska. Słyszę normalną polską mowę, dzieci szczebioczą po polsku. Kwitną bzy, których ja tyle lat nie widziałem. Pomyślałem sobie tak, że ja wracam do Polski i wracam z wojny. Melduję się Polsce, ojczyźnie - ja wracam!

Jest maj 1956 roku, skończyła się dla mnie wojna.

Na punkcie w Białej Podlaskiej przenocowaliśmy. Z wrażenia myśmy tej nocy z Roszkowskim nie mogli spać. Okno było otwarte, słowiki śpiewały. Wieczorem ta pani na punkcie, taka kelnerka mówi do nas - prosimy na kolację. Jak to nam się podobało. Proszą nas na kolację!

Na tym przerywam swoją relację o latach spędzonych na "niehumanitarnej ziemi"; niech praca ta stanowi przyczynek do materiału zbieranego na temat losów Polaków w ZSRR.

Mam przeświadczenie, że informacje te przekazuję w godne ręce i dla uczciwych celów, że w ten sposób zostanie po mnie jakiś ślad wg zasady "non omnis moriar".

W tym miejscu składam podziękowanie pani Krystynie Lewoc, która potrafiła przekonać mnie o celowości i potrzebie zapisania tych wspomnień a działo się to w lutym 1988 roku.

A teraz krótko o okresie zaaklimatyzowania się do życia w nowych warunkach życia w PRL - po powrocie z innego świata.

Los mi sprzyjał, bo wracałem do domu, który stworzyła żona z córeczką. Dzięki żonie Stanisławie wkrótce podjąłem pracę w biurze kolejowym, co pozwoliło mi poznać i zaadaptować się do nowych warunków życia. Nie kryję że miałem wielkie pod tym względem trudności.

Po dwóch latach - 1958 r. podjąłem /przerwana niegdyś we Lwowie/ studia prawnicze we Wrocławiu, które pomyślnie zakończyłem w 1962 r. a następnie uzyskałem uprawnienia radcowskie i od tego czasu wykonywałem zawód radcy prawnego na PKP w Legnicy, co poprawiło mi znacząco sytuację materialną, dało satysfakcję moralną i zapewniło zadowalającą, niezależną pozycję społeczną. W ten sposób los rekompensował mi w pewnym sensie lata gehenny w Warkucie.

Załącznik -

Razem ze mną na "Kapitałnej" w okresie 1950 - 1955 roku byli :
/których zapamiętałem/

1. Karol Pras, ze Lwowa
2. Franciszek Sitnik, ze Lwowa, ze Złoczowa
3. Józef Sznajder, ze Lwowa
4. Julian Wiktor, ze Lwowa - zginął tragicznie na Workucie
5. Mieczysław Orłowski - a właściwie Bernard Grzywacz, ze Lwowa
6. Władysław Zarzycki, major WP - przedwojenny
7. Olgierd Zarzycki, z Warszawy
8. Eryk Barcz - w obozie Leszek ^{Wojciechowski} Orzechowski
9. Władysław Roszkowski, oficer zawodowy z Wilna
10. Wiktor Jagoda, zawodowy oficer z Wilna
11. Bolesław Borsuk - właściwie Nowik, z Wilna
12. Antoni Kokociński, z Wilna
13. dr. Jerzy Dobrzański - lekarz
14. pan Świetlikowski, z Wilna
15. pan Zwinogrodzki, z Wilna - obecnie lekarz w Warszawie
16. Leon Tejwan, z Wilna - mieszka w Warszawie
17. Antoni Zaduszek, z Wileńszczyzny.
18. Wincenty Potkiewicz z Wilna
19. Czesław Wójcikowski - "
20. Marian Majewski z Lwowa
21. Stefan Maciejewski z Wileńszczyzny
22. Leon Adamczuk - " - obecnie w Łodzi
23. Czesław Zimnicki - " - obecnie w Warszawie
24. Janusz Syty z Podhaja - obecnie w Łodzi
25. Andrzej Zimnicki - " - nie żyje
26. Zdzisław Zys - " - obecnie w Gdyni
27. Władysław Bajdak - " - nie żyje
28. Czesław Bajdak - " - nie żyje
29. Władysław Wójcikowski - " - nie żyje
30. Stefan Maciejewski z Wileńszczyzny
31. Piotr Mieczanicki z Wileńszczyzny - nie żyje